

Powstanie chochołowskie.

Odbito w Drukarni Narodowej w Krakowie.

Dr. Stanisław Eliaż Radzikowski.

Powstanie chochołowski

w roku 1846.

DZIELNYM CHOCHOŁOWIANOM
POTOMKOM WYBRAŃCÓW
KRÓLA STEFANA BATOREGO.

Na pamiątkę powstania chochołowskiego
21-go lutego roku 1846, a ku uczczeniu
Jana Kantego Andrusikiewicza, księdza
Leopolda Kmietowicza i księdza Michała
Świętopełka Głowackiego.



Górale Chochołowscy.

(Dawna litografia).



Rok 46! Komuż na to słowo nie staną w oczach w tej chwili widma okropne »rzezi galicyjskiej«, komuż nie zabrzmie w uszach straszny hymn boleści, jakiego niema żaden naród w świecie, pieśń, od której krew krzepnie w żyłach...

Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,
Do Ciebie, Panie, bije ten głos...

Tłoczą się wspomnienia, jak to krew, krew bratnia splamiła dłonie, przesuwają się obrazy grozy, zbrodnie, pożogi, a nad tem wszystkim unosi się podły duch wroga, co się nie wahał uciec do tego sposobu, aby tylko dokonać zniszczenia narodu ujarzmionego.

Nam młodszym, cośmy nie patrzyli oczyma własnemi na ten straszny rok, przychodzą na pamięć opowiadania ojców i dziadów, tradycya zakłócia widłami, zarżnięcia kosą... przypomina się straszliwy medal, dzisiaj dosyć rzadki, którym upamiętniono zbrodnię bezprzykładną, — profile herszta zbójców Szeli i kanclerza Meternicha, otoczone wieńcem z ciał pomordowanych, główek dzieci, snopem piszczeli i kościotrupów.

A pieśń brzmi dalej:

Okropne dzieje przyniósł nam czas,
syn zabił matkę, brat zabił brata,
mnóstwo Kainów jest pośród nas.



Ależ o Panie! oni nie winni,
choć naszą przyszłość cofnęli wstecz,
inni szatani byli tam czynni;
o! rękę karaj, nie ślepy miecz!

Ten straszny rozdzwitek w narodzie, kiedy chłop »cesarski« morduje »Polaków« i dostawia do becyrku za pieniądze — objął jak wiadomo, głównie okolice Tarnowa i Bochni, a sięgnął po górali. Oni jedni nie wzięli udziału w rzezi, oni nie splamili się krwią bratnią, to też słusznie może rzucić w twarz chłopu, w szopce krakowskiej góral słowa: ty zbójcu galicyjski! Na góral-szczyźnie nie było rzezi, przeciwnie zdarzył się tam równocześnie fakt niezmiernej doniosłości, oto sam lud podjął powstanie zbrojne przeciw Austryi.

Górale nie zawiedli nadziei narodu, ci sami górale, do których zwracał się o pomoc Jan Kazimierz w czas trwogi, a którzy rozbijali w puch zastępy wojska szwedzkiego, ci sami górale co pomagali konfederatom barskim, a potem walczyli pod naczelnikiem Kościuszką, — usłuchali i teraz głosu narodu.

Tam w odległej wiosce, u samych granic Polski, w zapadłych górach, powstaje lud z wiarą wielką, że to sprawa święta, że pomódz muszą narodowi. Stamtąd od Tatr błyska nadzieja, a więc nie wszyscy, a więc nie cały lud poszedł za podszeptem wroga, tam zaświtała jutrznia uświadomienia chłopu.

W czarnym obrazie roku 46 odbija tem jaśniej bo-



haterstwo Chochołowian, co pod wodzą Andrusikiewicza i Kmietowicza wyruszają, aby zrobić, jak Bóg chce, by uczynić sprawiedliwość narodowi, aby znów była nowa Rzeczpospolita od Tatr do morza. Na całym Podhalu chodzą wieści dziwne, że zanosi się na wojnę świętą, starzy przypominają, co im zdali jeszcze ojcowie, że po tela nie dobrze na świecie, jeżeli u Krakowa nie będzie straszna wojna, że nadszedł czas, kiedy to król Bolesław ma wyjść z wojskiem zańnionem z Tatr w Polskę i bronić mowy i wiary. Dzieją się niezwykle rzeczy, między ludzi chodzi stary dziad z ewangelią świętą i głosi, że się odmieni w Polsce, a ludzie pytają z niecierpliwością: Kie też ta co będzie? aby się raz cerniawa ruszyła! i modli się, dejże to sam śliczny Jezus!

Z Zakopanego wybierają się górale do kościoła na Bańkówki, tam się wyspiewają i ruszą potem, aby pożenić tych Niemców psiagłowców het w doliny, ku Wadowicom, ku Krakowu!

Mimo sieci urzędników, obcych przybyszów i jeszcze gorszych własnych zaprzańców, mimo niechętnego stanowiska wielu dworów, a obojętnego zachowania się proboszczów — w Nowotarszczyźnie — rzecz idzie naprzód.

Zacny ksiądz Michał Świętopełk Głowacki, wikary w Poroninie porywa Podhalan gorącemi kaza-



niami, on to podtrzymuje wiarę w króla Bolesława, tłumaczy, że oni, tem wojskiem zaśnionem, co ma iść w Polskę, naucza o dawnych czasach, zachęca do oświaty i do kochania Polski.

W samem ognisku ruchu — w Chochołowie, zjawia się mąż biblijnej prostoty i ewangelicznego zapału, organista Andrusikiewicz, który jest duszą obudzenia ludu.

Dopomaga mu wikary, ksiądz Kmietowicz i razem w krótkim czasie rozdmuchują iskrę tlejącą w wielki ogień.

Chochołowianie powstają z zupełną świadomością, co czynią, uważają to za rzecz tak prostą, za obowiązek, bo tak być ma, Bóg wie co robi, Bóg tak chce, że odrazu na wezwanie organisty i wikarego wyproszczają kosy, zbierają broń i powstają. Idą do walki z najbliższą strażą austryacką na cle granicznym od Węgier, a idą z myślą, że będzie to rok walki koniecznej, a po nim sto lat pokoju. Potem urządzają sobie Polacy dom, jak chcą, wybiorą króla, albo może, żeby znów szlachta nie uciskała ludu, jak dawniej pod królem — postanowią Rzeczpospolitą nową, sprawiedliwą.

Lud sam to rozważa, nad tem myśli, a tu równocześnie na dół a ch inne zgoła dążenia, inne cele i zamiary rządzą chłopem — cóż za ogromna różnica w poj-mowaniu stosunku swego do narodu, tu a tam!

To też znaczenie powstania chochołowskiego w roku 46, jest olbrzymie!



Chwilę tę powinno się poznać dokładnie, i góralom tatrzańskim przyznać stanowisko, które im się słusznie należy — w historii ruchów narodowych, w dziejach obudzenia się polskości w wieśniaku.

* * *

Wspomnienia wczesnego dzieciństwa łączą mnie z Chochołowem. Tam do ojca mojego schodzili się górale chochołowscy, sołtysi, przynosili stare pergaminy od królów polskich, wspominali dawne czasy, dawne boje. W głowie dziecka roilo się od myśli i pragnień; raz wyrwałem się na pierwszą wycieczkę sam w góry, aż mnie potem zbłąkanego przywiodła jakaś kobieta do rodziców. Stał jeszcze wówczas w Chochołowie stary kościół drewniany, ocieniony olbrzymią lipą, obok wznosiła się nowa wielka świątynia murowana, której budowę zaczął jeden z sołtysów chochołowskich, ksiądz proboszcz Blaszyński.

Stary kościół drewniany, co patrzył na powstanie górali w roku 46, w którym święcono broń do walki za naród, dziś już nie istnieje.

Po wykończeniu nowego kościoła, budowę tę dawną zniesiono, a jedyny po niej ślad pozostał w widoku, który wówczas namalował za pobytu swego w Chochołowie ojciec mój r. 1871.

Niezostała nawet lipa stara, która jedna z otoczenia nowego kościoła pamiętała owe czasy, kiedy to tu zbie-



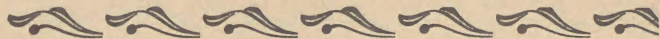
rały się zastępy górali z kosami wyproszczonemi, a szły, aby robić porządek w Polsce. Ścięto ją bez potrzeby przed kilku laty.

Pusto tu dzisiaj i cicho w dzień powszedni, nie szemrze jak przed laty stara, ogromna lipa trzechsetletnia, co widziała wiele zdarzeń, co patrzała młodem drzewkiem na wybrańców sołtysów chochołowskich, jak wyruszali w pole dla obrony Rzeczypospolitej, a potem, gdy Rzeczpospolita zczesała, widziała już wielkiem rozłożystem drzewem, porywy dzielnych potomków sołtysów, kiedy się ruszyli, aby znów podźwignąć Rzeczpospolitą.

W dali sinieją Tatry, we wsi piękne, stare chaty ocienione jasioniami i dobrzy górale, co do dzisiaj pamiętają, niektórzy z naocznego widzenia, inni z żywej tradycyi, wypadki roku 46, poruseństwo chochołowskie.

Z dzieciństwa i z późniejszych stosunków z góralami chochołowskimi, został mi w pamięci ten Chochołów pełen chwały i uroku, to też gdy potem, już w wiele lat później znalazłem się znowu tutaj, nie mogłem się oprzeć złudzeniu, że tu gdzieś w cieniu chat drzemie duch wielkiego króla Stefana i jego wiernego wybrańca z wypraw moskiewskich, Bartłomieja Kluski Chochołowskiego.

I ilekroć zdarzyło mi się potem być w Chochołowie, zdało mi się, że za chwilę, z za któreś chaty ocienio-



nej jasioniami wyjdzie wielki król Batory w szkarłacie, tak jak wisi na portrecie współczesnym u XX. Misyonarzy w Krakowie, a otoczą go kołem wierni górale, wybrańcy ze wsi Chochołowa, Bartłomiej Kluska i jego towarzysze, któremu król za wierne usługi, oddane w potrzebie moskiewskiej nadał dziedziczne sołtystwo.

I niewątpliwie posiew rzucony przez króla Stefana wydał plon po tylu wiekach, bo myśl taka nie marnieje i wynurza się z głębin ducha, gdy jej potrzeba dla narodu. Tu, w tej samej wsi, na samym końcu Polski, znalazł król Stefan, co gromił moskiewskie bojary, niezwykle poświęcenie kmieci w czasach, gdy bohaterstwo wojskowe było, zda się wyłączną własnością szlachty. Z Nowotarszczyzny wyszli wtedy wielcy wojownicy: panowie i chłopci, ród karmazynów Pieniążków i ród sołtysów Chochołowskich.

Stąd, z Podhala prowadził dzielne zastępy przeciw Moskwie starosta nowotarski Jan Pieniążek, tu było gniazdo tej zacnej rodziny, co wydała tylu wojowników.

Jan Pieniążek, najstarszy syn Prokopa, starosta nowotarski na wyprawie moskiewskiej w r. 1580 wiódł rotę własnym nakładem, a zyski z dzierżawy nowotarskiej obracał chlubnie ku potrzebie Rzeczypospolitej, bo poczet niemały wojska na pograniczu kosztem wielkim chował i w innych sprawach wiele a pilnie Rzeczypospolitej służył, jak mówi współczesny Paprocki. Bracia Jana, Prokop i Krzysztof, utrzymywali znaczne roty



w wyprawach moskiewskich, a nadomiar jeszcze sami walczyli dzielnie, jak i ich brat najmłodszy Nikodem.

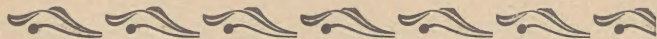
Prokop dokazywał cudów waleczności i odwagi na wyprawie moskiewskiej, szczególnie pod Pskowem r. 1582, gdzie wpadł pierwszy do wyboju w murach twierdzy i swym przykładem pociągnął innych do zwycięstwa.

W pocztach Pieniążków naśladowali wodzów dzielnie żołnierze, górale tatrzańscy, a jeden z nich Bartłomiej Kluska Chochołowski, poddany ze wsi Chochołowa, będąc z tej wsi za wybrańca naznaczon, tak się nawet odznaczył, że król Stefan za męstwo okazane w wojnie moskiewskiej nadał mu osobnym przywilejem dziedziczne sołtystwo w Chochołowie*).

Król Zygmunt III »mając bacność« na służby uczciwe Bartłomieja Kluski, także na nakłady i niebezpieczeństwo, które poniósł w wojnach, potwierdził owo nadanie króla Stefana w r. 1592, a to »chcąc go tym więcej pobudzić do posług«.

Potomkowie Bartłomieja własną pracą i zasługą zarabiają na nowe przywileje, bo oto niedługo potem w r. 1595 nadaje król Zygmunt III. Stanisławowi Cho-

*) Przywilej króla Batorego nie dochował się, wspomina jednak o nim następny przywilej, który potwierdza jego osnowę, to jest akt Zygmunta III. z r. 1592. Wszystkie następnie przytoczone akta i przywileje dochowały się dotychczas w rękę górali w Chochołowie.



chołowskiemu, następcy Bartłomieja za zasługi, które okazał w służbie na Podolu i gdzieindziej, przywilej potwierdzający dawne prawa. I pokąd istniała w Polsce służba piechoty wybranieckiej, zniesiona w r. 1649, odznaczają się ciągle sołtysi chochołwscy i otrzymują nowe potwierdzenia przywilejów.

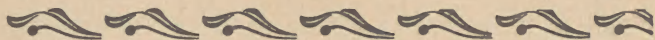
Tak wydaje król Władysław IV. w r. 1633 nowy przywilej, potwierdzający dawniejsze, synom Stanisława, Błażejowi i Tomaszowi Chochołowskiemu, a jeszcze król Michał Wiśniowiecki w roku 1669 w nowym potwierdzeniu wyraźnie wspomina o licznych osobistych zasługach rodziny Chochołowskich.

Nie waham się upatrywać związku pomiędzy czynami sołtysów Chochołowskich z przed lat trzystu, a udziałem ich bezpośrednich potomków w powstaniu z r. 46, bo oto występują tu znowu sołtysi Chochołwscy z tego samego rodu: Jan Zych, Jan Stercula, Jacek Kojs i Wojciech Kojs. Wszyscy ci, to członkowie rodzin, na jakie rozpadł się ród Chochołowskich; jednego Jana Zycha wymienia n. p. przywilej Augusta II. z r. 1722 jako potomka, między innymi, w prostej linii Błażeja i Tomasza Chochołowskich. A ten imiennik i spadkobierca Jana Zycha w r. 46 siedzi w więzieniu za powstanie, za to, że szedł na wezwanie narodu i za głosem wewnętrznym, bo jak sam w liście swoim napisał, tak miało być, Bóg tak chciał, a Bóg lepiej wie co robi i nigdy się



nie skarżył, nawet wtedy, gdy w więzieniu razem z innymi towarzyszami przymierał głodem i odmroził nogi w zimnym lochu.

Dzieje te opowiedzą najlepiej sami uczestnicy. Na następnych kartach znajdzie czytelnik pamiętnik wodza powstania, Jana Kantego Andrusikiewicza, z którego poznać może jasną i sprawiedliwą duszę tego człowieka, co z zapału dla sprawy narodowej poświęca wszystko, aby tylko doprowadzić do skutku dzieło zamierzone. Karty te opowiedzą dokładnie, co się wówczas działo w tym kącie Polski, że tu na Podhalu były serca w ton zgodny z głosem narodu, że wtedy byli tu ludzie, co działali na lud, obudzając w nim świadomość narodową. Dowiedzieć się z nich można, że my dzisiaj przychodząc na Podhale nie zastajemy ziemi pustej, jałowej, że tu już inni pracowali, że rzucali ziarno, i ten posiew dawał owoce. Wyjdzie z kart tych obok samego autora pamiętników, Andrusikiewicza, żywo i plastycznie postać księdza Kmietowicza, wystąpi osoba księdza Michała Świętopelka Głowackiego, wikarego z Poronina, dotąd zupełnie nieznana. Ksiądz Głowacki zwłaszcza jest tu poraz pierwszy opisany, bo o tamtych dwóch mężach wiadomości w dotychczasowych opisach powstania chochołowskiego były dosyć obfite. Obok Andrusikiewicza i Kmietowicza należy też w trójcy wodzów ruchu na Podhalu umieścić koniecznie Głowackiego, który jak z następujących pamiętników wynika miał



wielki i niepośledni wpływ na sam wybuch powstania, a choć osobistego udziału w powstaniu nie brał, to jednak był również jednym z jego kierowników. Zaraz też po stłumieniu powstania zaaresztowano księdza Głowackiego, jako wmięszanego w tę sprawę.

Ksiądz Głowacki znany był dotąd tylko z oderwanych wzmianek tu i ówdzie, i tak n. p. w Piśmiennictwie Polskiem, Maciejowskiego (tom I. str. 254 z. r. 1851) znalazłem ustęp w wyliczeniu zabytków literatury, który mówi: o »legendzie o Bolesławie Śmiałym opowiedzianej w mowie ludu z Poronina, spisanej przez ks. wikarego Głowackiego r. 1843«. Wzmianka ta nabiera teraz znaczenia, kiedy się możemy dowiedzieć, że był to jeden z czynników, jakich użył ksiądz Głowacki do uświadomienia Podhalan, że on to podanie spisał, a następnie wykladał góralom, iż oni tem wojskiem zaślionem, które ma bronić Polski.

Znalazłem też opis wycieczki do Tatr z roku 1830 w rękopisie, pozostałym po ś. p. Żegocie Paulim w Bibliotece Jagiellońskiej, (Rkp. N. S. 5373) a podpisany nazwiskiem: Świętopełk. Jest to również praca księdza Głowackiego, który używał tego nazwiska, jak się dowiadujemy z następnych kart.

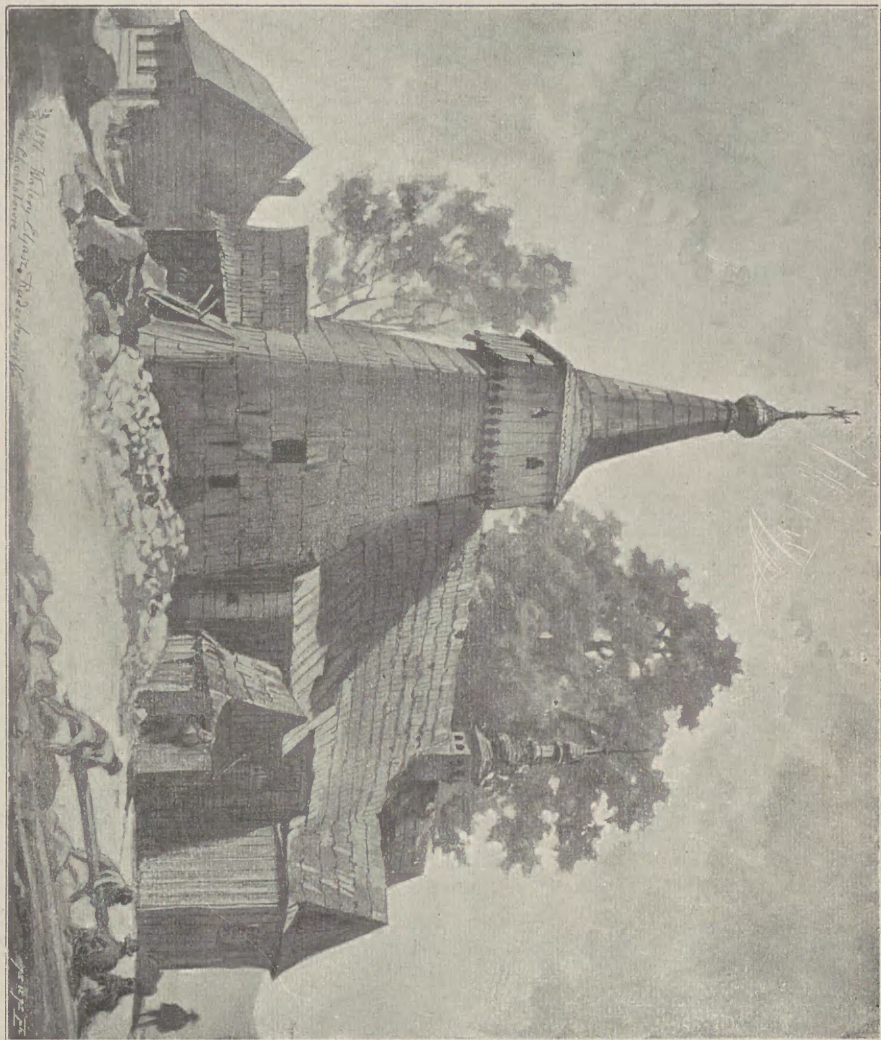
Pamiętniki Jana Kantego Andrusikiewicza składają się z dwu części. Pierwszą spisał sam Andrusikie-



wicz. Obejmuje ona wypadki poprzedzające powstanie i urywa się w miejscu, gdzie właśnie miał się zacząć, opis wybuchu. Ten pamiętnik znalazł się u przyjaciela Andrusikiewicza, p. Antoniego Skąpskiego w Starym Sączu.

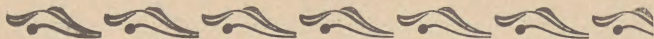
Drugą część stanowi pamiętnik, spisany podług opowiadania Andrusikiewicza przez Zygmunta Kaczkowskiego ołówkiem w więzieniu. Sam oryginał z którego ogłaszam odpis dosłowny, znajduje się w zbiorach Muzeum narodowego w Rapperswylu. Odpis oryginału, zdaje się skuteczniejszy dosyć dawno, posiada Zakład narodowy im. Ossolińskich we Lwowie (Rkp. 2932). Z porównania oryginału z rękopisem tym w Ossolineum pokazało się, że odpis ma dość częste omyłki, które pochodzą ze złego odczytania oryginału. Najwidoczniej odpisywał ktoś, co nie miał najmniejszego pojęcia o Chochołowie; nazwiska miejscowości i osób są haniebnie przekręcone. Ponadto dołączam jeszcze listy i to samego Andrusikiewicza, które pisał z więzienia i po amnestyj, oraz listy uczestnika powstania Jana Zycha, kowala w Chochołowie, potomka owych dzielnych sołtysów Chochołowskich, co służą wiernie, jak mogą ku pożytkowi Rzeczypospolitej, tak dobrze za dni jej chwały, jak i w chwilach upadku.

W listach tych została pisownia oryginałów, niech się wypowie poczciwy Jan Zych, jak potrafi. Jest to zresztą dokument nietylko historyczny, ale i językowy.



Stary kościół w Chocholowie.

Podług akwareli Walerego Eljasza Radzikowskiego z r. 1871.



Zdaje mi się, że czytelnik oceni ową bezpośredniość wrażeń, jakie mu dać może oryginał listów kmiecia, który pisze jak umie, i wypowiada się swoim językiem.

Pozostaje mi jeszcze objaśnić część obrazkową. Jak pod względem treści, tak również co do rycin znajdzie czytelnik same dokumenty. Wszystko to jest zupełnie nowe, nigdzie nie odtworzone. Widok kościoła drewnianego w Chochołowie, dziś nieistniejącego, jest reprodukcją akwareli ojca mojego, malowanej w r. 1871. Kościół sam pochodził, jak się zdaje z samego początku wieku XVII., najpewniej wystawiony, bo doń odnosi się, jak sądzę, zapiska o wzniesieniu kaplicy w Chochołowie, przez dwu braci sołtysów Chochołowskich około roku 1600. W kaplicy tej dwa razy na rok odprawiało się nabożeństwo. W roku 1762 stała się ta kaplica kościołem filialnym. Potem w roku 1780 dostawił do kościoła wikary, ksiądz Jan Babicki wieżę, a kościół w ten sposób powiększony należał jako filialny do kościoła macierzystego w Czarnym Dunajcu.

W r. 1817 kościół chochołowski stał się samodzielnym, parafialnym z proboszczem osobnym i objął oprócz Chochołowa wsi: Witów, Dzianisz, połowę Cichego, połowę Zakopanego i połowę Podczerwiennego, czyli Koniówkę. Druga część Zakopanego należała do parafii w Poroninie, czyli w Bańkówkach. Stan ten zmienił się dopiero w r. 1848, kiedy Zakopane zostało osobną pa-



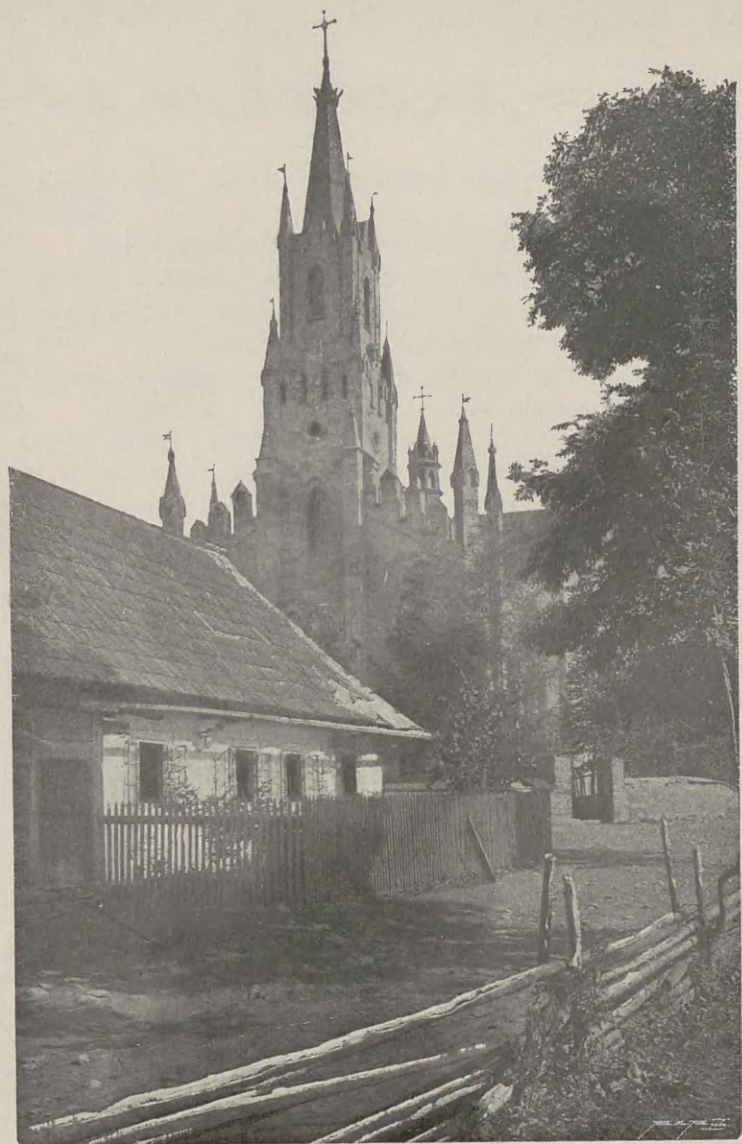
rafją z własnym kościołem, poświęconym d. 6. stycznia 1848 roku.

Sam kościół posiada wiele charakteru w budowie i rozmaite szczegóły, które nie są bez znaczenia, jeżeli chodzi o zbadanie stylu naszych kościołów drewnianych. Nie rozwodzę się jednak obszerniej nad tym przedmiotem, poprzestając na podniesieniu wartości widoku.

Obok kościoła widać rozłożyste drzewo liściaste, jest to owa sławna lipa, którą znawca drzew, Böhm nazwał w r. 1866 »największem drzewem w całym kraju«. (Tabellaryczny Przegląd nadzwyczaj starych, oraz rzadkich drzew w lasach Zachodniej Galicyi, z krótkimi objaśnieniami co do miejsc, na których rosną, ich wieku, wysokości i grubości, jak niemniej z innemi potrzebami i uwagami, Dziennik Rolniczy, Kraków 1866). —

Ocecił tę lipę drobnolistną wówczas Böhm na 250 lat, a podał wymiar jej: wysokość 94 stóp, średnica $11^m/m' - 8''$.

Pisze też przytem w te słowa: »Przy budowie nowego kościoła w Chochołowie chciano ściąć to drzewo; mnie udało się przecie skłonić tamtejszego proboszcza do tego, aby mu życie darował«, a dodaje zdanie, któreby winno stać się prawem, bronionem ustawą osobną: »Podobne atoli egzemplarze zostawać powinny pod publiczną opieką, bo takie cuda natury nie po-



Nowy kościół w Chochołowie.

(Z fotogramu St. E. R.)



winy nigdy zależeć od humoru pojedynczego człowieka».

Złote słowa, których nie trzeba popierać, a których niestety dotąd nie wzięło sobie do serca prawodawstwo przynajmniej u nas, bo gdzieindziej na Zachodzie, jak n. p. w Szwajcaryi prawo ochrania z surowością stare drzewa, uważając je słusznie za majątek narodowy.

Lipa ta w r. 1871 miała u spodu w obwodzie 18 łokci podług zapiski ojca mojego.

Bardzo niedawno, bo kilka lat temu, niestety, lipę ścięto, rzekomo pod pozorem, że butwieć zaczyna.

Kościół drewniany zastąpiła wielka świątynia murowana w stylu gotyckim zbudowana podług planów Księżarskiego z niejakim podobieństwem do kościoła maryackiego w Krakowie. Podaję widok dzisiejszy tej świątyni razem z otoczeniem podług fotogramu, który zdjąłem przed kilku laty.

Z następnych rycin, obraz podpisany: »Boga Rodzica Dziewica« jest objaśniony osnową pamiętnika. Opis tam zawarty tłumaczy obraz, dzisiaj zupełnie zapomniany. Jedynie z pomocą opisu udało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności znaleźć rycinę litografowaną, którą posiada zbiór Walerego Eljasza, a która jest niewątpliwie reprodukcją obrazu olejnego z r. 1846, wówczas niezwykle rewolucyjnego. Obraz ten, jak się zdaje był w reprodukcji litograficznej jednym ze środków propagandy powstania w r. 1846.



Rycina wyobrażająca dwu górali chochołowskich ma ciekawy początek.

W mieszkaniu Andrusikiewicza w Chochołowie jeszcze przed powstaniem wisiał na ścianie duży obraz kolorowany za szkłem, niewiadomo przez kogo malowany.

Kiedy Andrusikiewicz wrócił ze Spielbergu — po amnestyi do kraju, dał zeń zrobić wierną podobiznę i odbić w tysiącu egzemplarzy, z których 200 było ręcznie kolorowanych. Wówczas komitety obywatelskie i osoby prywatne prześcigały się w niesieniu wsparcia i pomocy góralom chochołowskim, zubożałym i zniszczonym wskutek powstania. Nadsyłały też datki pieniężne najczęściej do Gdowa na ręce Andrusikiewicza, który znów każdemu z ofiarodawców posyłał na pamiątkę taką reprodukcję. Jedną z nich posiada jeszcze przyjaciel Andrusikiewicza, w którego rękę znalazł się również jego pamiętnik, sędziwy p. Antoni Skąpski w Starym Sączu. Reprodukcyja posiada w prawym dolnym rogu litery F. L., podpis opiewa:

Górale Tatrzańscy z Chochołowa i okolicy.

Nie wiadomo, gdzie wykonana, może być, że w litografii Kostkiewicza we Lwowie, gdzie także zrobiono portret Andrusikiewicza podług rysunku B. Z. Stęczyńskiego, a także wizerunek Józefa Kapuścińskiego i trzy różne podobizny Teofila Wiśniowskiego.



Ponadto dodają jeszcze portrety Andrusikiewicza, Kmietowicza i Głowackiego.

Portret Jana Kantego Andrusikiewicza jest zrobiony drogą fotograficzną z daguerotypu zdjętego z natury w r. 1848, a przechowanego w rodzinie Andrusikiewicza.

Portret księdza Leopolda Kmietowicza razem z autografem jego podpisu podług rysunku z natury wykonanego przez Franciszka Tepę w roku 1848.

* * *

Opis powstania chochołowskiego podał dotychczas Walery Eljasz w *Dwutygodniku dla kobiet*, 1884, w Poznaniu, rocznik IV., p. t. »Kartka z dziejów Podtatrza«. Materiałem były głównie opowiadania samych górali chochołowskich, które zgadzają się w zupełności z pamiątkami Andrusikiewicza. Jestto najobszerniejsza wiadomość dotychczasowa o tem zdarzeniu.

Opisał również powstanie chochołowskie Maurycy Sala w dziele: *Geschichte des polnischen Aufstandes vom Jahre 1846* w Wiedniu 1867, str. 153, 204 i dalsze.

Porównaj też:

— »Pamiętniki więźnia stanu« Fr. M. Wł. Czaplickiego, str. 47, 196, 200, 207, 218, 219 i 251.

— »Kufstein« Stefana Mułkowskiego, str. 68.



Oprócz tego wiadomości o Chochołowie podają prace:

Walery Eljasz, Chochołów, z 3 drzeworytami
»Wieniec«, Warszawa 1872, rok I., tom II., str. 904.

Walery Eljasz, »Kilka słów o Chochołowie«,
Kalendarz Czecha, 1873.

PAMIĘTNIKI
JANA KANTEGO
ANDRUSIKIEWICZA

CZEŚĆ PIERWSZA



Jan Kanty Andrusikiewicz.





I.

Krótki rys historyczny państwa Czarnego Dónajca i opis powstania w Chochołowie dnia 21 lutego 1846.

Wieś Chochołów pod samemi Tatrami na pograniczu Węgier leżąca, granicząca z żupaństwem orawskim, nosi nazwisko pierwszego jej założyciela, Stanisława Chochołowskiego, któremu jak świadczy przywilej Zygmunta III. z r. 1592 temuż dany w nagrodę zasług poczynionych w wojsku, pozwala król założyć na czterech łanach sołtystwo jego imienia, które staroście nowotarskiemu ma podlegać *). Ta wieś do 1772 r. na-

*) Rzecz miała się zupełnie inaczej. W powyższych słowach przedewszystkiem należy poprawić imię Stanisława na Bartłomiej, co powstało ze złego odczytania przywileju Zygmunta III., a następnie zrozumieć dobrze osnowę przywileju, który tylko potwierdza dawniejsze prawa, jakie nadał Bartłomiejowi król Stefan Batory.

Zanim wyjaśnię osnowę tego przywileju, cofnę się dla lepszego zrozumienia przebiegu zdarzeń do samego początku Chochołowa.

Otóż pozwolenie na założenie Chochołowa otrzymał już Jan Jordan, starosta nowotarski; który wyrobił u króla Zygmunta Starego w r. 1505 przywilej na sołtystwo w Chochołowie. Kto był tym sołtysem, niewiadomo, dosyć, że gdzieś około r. 1580

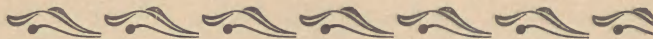


leżała do starostwa nowotarskiego, które było dobrami stołowemi króla. Od r. 1772 przestało istnieć starostwo nowotarskie i rząd cesarski nazwał je prefekturą nowotarską, która w r. 1817 na państwa rozprzedaną została.

już istnieje wieś Chochołów, w której jest sołtysem Bartłomiej Kluska, nazywający się także Chochołowskim, jak to w ogóle było w zwyczaju w Nowotarszczyźnie, że sołtysi przyjmowali nazwiska od wsi rodzinnych. Prawdopodobnie dopiero ten Bartłomiej Kluska ściągnął osadników do Chochołowa, mimo, że przywilej na sołtystwo był o tyle lat wcześniejszy i że już poprzednio jakiś inny sołtys próbował osadzić Chochołów w początkach wieku XVI. Bywało tak nieraz, że osadzanie nie powiodło się i dopiero po latach inny sołtys doprowadzał do skutku wieś nową. I w tym też razie Bartłomiej Kluska osadził wieś z korzenia surowego »in cruda radice«, jak mówi przywilej Zygmunta III. z r. 1592.

Już po osadzeniu Chochołowa został Bartłomiej Kluska Chochołowski naznaczon z a wybrańca z tej wsi. Właśnie wówczas, za Stefana Batorego powstałi wybrańcy czyli piechota łanowa w r. 1578, kiedy król rozkazał z miast, miasteczek i dóbr królewskich wyprawiać na potrzeby wojenne pewną ilość ludzi pieszych według słusznej liczby łanów.

Bartłomiej Kluska Chochołowski odznaczył się niezwykle na wyprawach moskiewskich za Batorego i wtedy to król za te usługi nadał mu osobnym przywilejem dziedziczne sołtystwo we wsi Chochołowie. Zygmunt III w przywileju, o którym wspomniałem powyżej, w r. 1592 mówi, że »chcąc go tym więcej pobudzić do posług« potwierdza mu prawa nadane od króla Stefana, »uwalnia od wszelkich ro-



Chochołów włączono do państwa czarno-dónajckiego, które składa się z dwóch parafij: czarno-dónajckiej, *) obejmującej wsie: Czarny-Dónajec, Wróblówkę, Podczerwone i jedną trzecią część wsi Cichego, która to wieś ma do 500 Nr., i parafji chochołowskiej, która była do r. 1817 filją, dziś parafją, liczącą do 6.000 dusz, mającą plebana i wikarego, a do niej należą: Chochołów z 200 Nr. i 1.000 ludności, Koniówka 50 Nr. i 300 ludności, Witów 160 Nr. i 800 ludności, Działnisz 200 Nr. i 1.000 ludności, Ciche 300 Nr. do 2.000 ludności, Kościeliska z 100 Nr. i część Zakopanego 100 Nrów przeszło; ostatnie dwie — należą do państwa Kościelisk.

bót, czynszów i innych podatków, okrom dziesięcin kościołowi należących» i pozwala mu osadzić na gruncie sołtysim czterech zagrodników. Sołtysi Chochołowscy do dziś dnia dochowali oryginalny przywilej ów Zygmunta III z r. 1592 i to jeden pisany po łacinie na pergaminie, a drugi po polsku prawie równobrzmiący na papierze z pieczęcią odciśniętą na opłatku. Treść przywileju tego, jak również i innych późniejszych, oraz dzieje dalsze Chochołowa podał już ojciec mój w pracy: *Chochołów*, przez Walerego Eljasza, z 3 drzeworytami, Wieniec, Warszawa 1872 rok I, tom II, str. 904, oraz *Kilka słów o Chochołowie*, kalendarz Czecha 1873.

Dr. Stanisław Eljasz Radzikowski.

*) Górale wymawiają Donajec z lekkim przegłoszeniem o, ów: Dónajec, i tak też stale pisze Andrusikiewicz.



Państwo czarno-dónajeckie z 7 wsi i 8 tysięcy ludzi złożone, kupił Jan Pajączkowski. Ponieważ w tem państwie nie było żadnych dworskich gruntów, na którychby sobie dziedzic mógł chociaż pomieszkanie wystawić, sprzykrzywszy sobie smutną okolicę, postanowił rychło państwo to sprzedać. Dowiedziawszy się o tem chłopi, udali się do niego w zamiarze kupienia państwa, aby się tym sposobem uwolnić od wszelkich inwentarskich powinności i lasy im tak potrzebne kupić na rzecz gromady.

Pajączkowski przyjął ich propozycyę, podał im sposób jak to kupno mogą z nim do skutku doprowadzić i pragnąc ich szczęścia, przyrzekł im sprzedać tylko o 500 Ry. drożej, jak od kamery kupił.

Chłopi porozumieli się z sobą po gromadach, obrali pełnomocnika do tego kupna — rodaka swego z Czarnego Dónajca, ks. Józefa Szczurkowskiego, który na ten czas był plebanem w Krośnie, w obwodzie jasielskim.

Temu pełnomocnikowi złożyły gromady w r. 1819 umówioną sumę 11.500 fl. c. m., za którą on to państwo kupił i które bez wiedzy gromad dał na siebie in-tabulować.

W dwa lata później zaczął chłopów uciemiezać, wymagać inwentaryalnych powinności, od których się okupili i głosić się dziedzicem.

Chłopi tem postępowaniem oburzeni, zaczęli go skarżyć; on zaś widząc się u nich znieawidzonym,



odstąpił pod pewnymi warunkami to państwo w r. 1822 swemu krewnemu Andrzejowi Szczurkowskiemu, ukończonemu juryście, który postępowania swego wuja nie zmienił, ale ich jeszcze bardziej uciemieżał.

Trudne było położenie chłopów — nieświadomych prawa, — i chociaż nie szczędzili pieniędzy na korzystne przeprowadzenie procesu dla siebie, mając się podówczas jeszcze dobrze, nic wskórać nie mogli przeciw przebiegłemu prawnikowi Andrzejowi Szczurkowskiemu i przedajnym urzędnikom.

Aż będący w sąsiedztwie chytry i przebiegły Kajetan baron Borowski — dziedzic Sieniawy w obwodzie wadowskim, ułudził swem niecnem postępowaniem chłopów tak, że go obrali pełnomocnikiem i rządcą dóbr czarno-dónajeckich i zawarli w r. 1824 z nim komplancyę, mocą której on się obowiązał nie żądać od nich żadnych inwentarskich powinności, owszem dawać im drzewa z lasów, mających 600 morgów, ile potrzebują. Oni mu się za to obowiązali płacić z każdej ósmej części roli po 8 Ry. rocznie, z których 602 tak zwanych »ośmin« — czyni sumę 1.926 fl. 24 kr.; nadto odstąpili mu dwie karczmy do propinacyi, czynsze z młynów i polan.

Przerażony tem Andrzej Szczurkowski tentował zgodę z chłopami, którzy się jednak z nim w nic wdawać nie chcieli.

W tem rzeczony Borowski prowadził pomyślnie



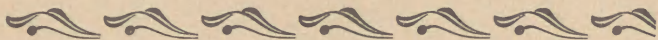
proces dla chłopów, którym jednak nigdy szczerze nie życzył, bo gdy już proces był na schyłku, i obaj Szczurkowsky byli zagrożeni kryminałem za oszustwo, zaproponował nagle Szczurkowskiemu, by mu to państwo mimo zawartej z chłopami komplancyi sprzedał, a on go za to uwolni od kary kryminalnej.

Chcąc się Andrzej Szczurkowski od kryminału uwolnić, bo wiedział o niecnym nabytku tego państwa przez wuja swego, sprzedał to państwo w r. 1826 baronowi Borowskiemu za 1.000⁰ R. c. m., podpisawszy jednak sumę tę, którą baron chciał, by była umieszczoną w kontrakcie.

Tym sposobem ustał proces na chwilę, bo baron objął państwo jak dziedzic, gdy chłopci myśleli, że to tylko na komplancyi rzecz stoi, i byłoby do czasu się wlekło, bo baron umiał chłopów sobie ujmować, ale chcąc większych dochodów, zaczął ich uciemiezać, odbierać polany, propinacye i t. p., słowem — postępować wbrew komplancyi.

Chłopi znowu zaczęli się procesować, których baron zaczął okropnie przesładować; synów, — a nawet ich samych oddawać do wojska, córki brał gwałtem do siebie i te gwałcił, bił, więził, a nawet zaciętych przeciwników truł, podczas gdy tych, co z nim trzymali — zdobytymi na drugich dobytymi hojnie obsypywał.

Władze cyrkularne, kryminalne i gubernialne zjeżdżały na komisye, które nigdy nie przyznały słuszności



chłopom, bo od zwodniczych mamon barońskich pogłuchły i poślepyły, ale jeszcze nazywały ich buntownikami, a ze skargami do urzędu przybyłych — wytrącały za drzwi.

Przyszło do tego, że baron mając za sobą władzę, zaczął odbierać im grunta, polany, wzbraniał paszy podczas lata w Tatrach dla bydła, którego hodowanie jedynym utrzymaniem ich było, — czem do ostateczności przywiedzeni chłopci, wystąpili w jednym dniu z wszystkich gromad z bydłem i gnali je na paszę w Tatry. Było to w końcu maja 1831 r.

Baron dowiedziawszy się o tem przez swoich zaszników co myślą chłopci, przygotował rotę z 20 ludzi, złożoną z hajduków i leśnych, pod dowództwem leśniczego, którzy uzbrojeni w broń palną — do pędzonego przez lud bydła strzelać zaczęli, a wreszcie do ludzi, którzy się wtedy dopiero rzucili do kamieni, z gdy ich kupy kilku padło, i tych opryszków barońskich odpędzili. Padło kilka sztuk bydła i trupem padło dwoje ludzi, — prócz wielu rannych.

Doniósł baron o tym wypadku do cyrkułu w piśmie, gdzie wystawił chłopów buntownikami, że chcieli iść w pomoc powstańcom za Wisłę — i że on ich na chwilę poskromił.

Ponieważ cyrkuł był na usługi barona, przybyły natychmiast dwie kompanie wojska z komisarzem cyrkularnym, który wskazanym, a już przez barona zaraz po



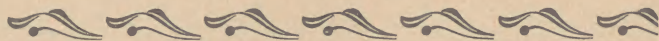
tym wypadku uwięzionym chłopom, bez zapytania się ich poprzednio — po 80 i 100 kijów przez żołnierzy wyliczyć i tak bić kazał, że aż z ławek krew ciekła i psy ją lizały; wielu z ław pospadało, a wielu w kalectwo popadło i wczesnie pomarło.

Odjechał komisarz, odeszło wojsko, a chłopci nie wiedzieli — za co właściwie byli bici; myśleli, że za to iż się nie dali postrzelać.

Trzymał baron jeszcze kilka tygodni po więzieniach swych większych przeciwników, aż gdy już widział, że ducha wyzioną, wtenczas ich dopiero wypuścił, którzy do odległych domów swoich ledwie się na raczku zaczęli.

Tem postępowaniem rządu zrazili się chłopci bardzo, gdyż nie znaleźli nigdzie sprawiedliwości. Otrętwieli, i z małym wyjątkiem — bo się przedtem wszyscy w jedno trzymali, po tym wypadku podzielili się na trzy stronnictwa.

Jedno chwyciło się barona i trzymało z nim; tym działa się dobrze. — Drugie nie trzymało ani za baronem, ani przeciw; to zawisło od kaprysów barona, — jednak niebyło prześladowane, ani też protegowane. — Trzecie było z największem poświęceniem, — wytrwałe, niezrażające się żadnem prześladowaniem. Obrabło deputowanych do procesu, i chociaż zubożało, dawało pieniądze deputowanym, którzy chodzili do pokątnych pisarzy, — bo adwokatowi nie byli wstanie płacić i ciągle



o każdym srogiem postępowaniu barona donosili władzom. Sąd w końcu znudzony skargami — raz przecie wysłał niesprzedajnego konsyliarza kryminalnego z Wiśnicza nazwiskiem Berezowskiego, który uznał słuszne skargi chłopów i barona wraz z adherentami jego pociągnął do kryminału.

Siedział baron z swą czeredą lat trzy inkwizytem; — Konsyliarza tego usunięto, a baron z mandataryuszem, leśniczym i innymi wyszedł wolno z braku dowodów. Zasądzono tylko kilku mniej winnych zbójców na parę miesięcy.

Baron powróciwszy, przestał być tak gwałtownym, ale, co raz już wydarł był, — nie powrócił i otoczony ofycyalistami — wyrzutkami ludzkości, z których każdy był w kryminale i każdy prawie był szpiegiem rządowym tak justycyaryusz jak i mandataryusz — ssał lud niemi do reszty, aż w roku 1843 rząd mu te dobra odebrał i oddał ks. Wilczkowi, sukcesorowi Szczurkowskich, który mandataryusza — najgorszego z jego ofycyalistów a zdrajcę barona — do siebie przyjął, który tam dotąd w tym samym charakterze zostaje.

Wśród takich okoliczności przybyłem do Chochołowa za dekretem konsystorskim w r. 1833 jako nauczyciel parafialny i organista. Dochody nauczyciela nie przносиły 30 fl. cm., a wraz z dochodami organisty wszystko nie przносиło 200 fl. cm., licząc w to wszelkie po parafii żebraniny.



Proboszcz — człowiek skąpiec, którego Bogiem pieniądze, nieużyty, nieczuły, z wszystkiego tylko ciągnął korzyści dla siebie; nie obchodziła go parafia, kościół, szkoła, a dla bliźniego obojętny, zimny. — Nie lubił prawdy i chciał, by tylko jemu przyznawano słuszość, światło, — a u którego jak jednego, tak drugiego nie było. Od parafjan dla ździerstw, nieczułości na nędzę, był niecierpiany. Gdy wikarych przeciwnie lud szanował, bo było kilku pomiędzy nimi — za mego bycia — pocziwych, prawych ludzi.

Ożeniłem się tam w r. 1834 z Józefą Homelską z Makowa i oddałem się zupełnie swemu zawodowi, a w szczególności szkole, którą już mój poprzednik z gorliwością utrzymywał. Zastałem tam lud modlący się z książki, a osobliwie prawie wszystkie kobiety. Staralem się najszczególniej, by dzieci umiały dobrze czytać, pisać i rachować po polsku, a po niemiecku tylko tych uczyłem, którzy chcieli. Pracę moją ocenił konsystorz, bo mię w czasie mego tam bycia dwoma piśmieniem pochwałami obdarzył, lecz proboszcz nie lubił mojej gorliwości tak jak i baron Borowski. —

Mówił mi pierwszy: »Po co sobie pan tyle pracy zadajesz, nie będąc za to przyzwoicie nagrodzonym....«, a baron mówił: »Nie ucz ich nic, tylko religii i posłuszeństwa, a i trochę czytać z książki do modlenia. Żebyś mi ich nie uczył pisać!...« — To były bodźce!

Lecz na to nie zważałem i chciałem tym sposobem



być ludowi użytecznym i prawdziwie znalazłem w tem potem wielką przyjemność, a gdym pedagogikę Trentowskiego przeczytał, skorzystałem z jego rady i podwoiłem moje usiłowania. Było to prawda już w końcu mego tam bycia, ale się to jeszcze wszystko na czas przydało.

Miałem własną, do 700 książek wynoszącą biblioteczkę, której zbytnie godziny poświęcałem, i tem sobie życie w dwójnasób uprzyjemniałem, co się memu proboszczowi nie podobało, bo mi mawiał: »Po co to pan tyle czytasz, to nie w pańskim stanowisku... lepiej mniej wiedzieć«. Gniewała mię ta jego mowa, lecz musiałem dla chleba milczeć.

Pożyczałem ludziom chcącym czytać — najprzód »Żywoty Świętych«, potem »Szkolę niedzielną«, powieści moralne, »Historję polską«, »Przyjaciela ludu«, różne dla ludu książeczki. Czytali tylko w czasie wolnym od pracy — w święta. Tych — co odnosili i o nowe książki prosili, pokrótce egzaminowałem — czy zrozumieli co czytali; a co nie zrozumieli, sami się czasem pytali, lub im objaśniałem. —

W rzeczy procesu ich nie mieszałem się, dlaczego baron dosyć mię lubił, a oni pracę uznając — szanowali. I byłbym miał pokój przez pobyt barona w tem państwie, gdyby proboszcz mój nie był z nim zadarł. —

Ja — jako podwładny proboszcza — odpisywałem, co mi polecił, z czego baron zaczął mnie prześladować,



i skarżyć do cyrkułu przez swego mandataryusza Franciszka Kulczyckiego—jako buntownika i niebezpiecznego człowieka. Chłopów przez tego mandatara zaczął bardziej uciemięzać. Ja poznawszy dokładnie proces i widząc ich krzywdę zacząłem im wraz z proboszczem pomagać, który koncept miał dobry, a chłopci tyloletniem procesowaniem się zubożeli i już ustawali się skarżyć, aż naszymi pisaniami tyleśmy dokazali, że nadworna kancelarya nakazała wszystko na nowo dochodzić. —

Szło to piorunem. Komisarz Skiba przybył i kazał obrać deputowanych. Wskazałem gromadom chłopów na deputowanych, których prawość znałem, a miałem już wtenczas wpływ na nich i posiadałem ich zaufanie. Obrali — jak wskazałem i po odjeździe proboszcza, który się na czas samochcącego prześladowania barona uchylił, prowadziłem im dalej proces, bez najmniejszej chęci wynagrodzenia i jak szkołą z ochoty i przekonania dla dobra ludu, tak i tu procesem o ile miałem zdolności — zająłem się.

Chłopi tyloletniemi krzywdami rozgoryczeni przekonali się o niesprawiedliwości rządu, co ja potem sam podsyciałem. Będąc prześladowany przez barona, później byłem niecierpiany dla tego przez ks. Wilczka, który chciał moje zaufanie u chłopów osłabić, ofiarował mi korzystne leśniczostwo w dobrach; gdy mu nieudolnością się wymówiłem, ofiarował mi taką samą posadę jak miałem w dobrach Czarnym Dunajcu; a gdy i tego nie przy-



jąłem — poznał co myślę i odgroził mi prześladowaniem. Ja — raz sobie wytkniętej drogi prawej porzucić nie chciałem, ani myślałem nadużyć zaufania, które chłopci, a szczególnie plenipotenci we mnie położyli.

W takim stanie zastał mię rok 1845, i gdy po powodzi wielkiej, byłej u nas w lipcu, przybył śp. ksiądz Michał Głowacki z drugim księdzem z Krakowa, który miał polecenie zbadać stan rzeczy i usposobienie ludu w górach do nastąpić mającego powstania, ja przez przeciąg mego w górach pobytu, poznawszy dużo ludzi niekontentych z rządów niemieckich, którzy sobie lepsze czasy przypominali, — a polegając zupełnie na ś. p. ks. Michale Głowackim, wikarym z Poronina, w sąsiedztwie naszej parafii będącym, który mi książki za granicą wychodzące, naszej Polski się tyżące pożyczał, dla którego miałem wielki szacunek i poniekąd wdzięczność, — przyjąłem przez niego na mnie włożony obowiązek przygotowania ludu do nastąpić mającego powstania, w którym oni w pierwszej chwili nie mieli być użytymi, tylko miał być napad na miasta.

Otrzymałem kilka broszurek stosownych do tego celu; a widząc ks. Głowackiego — człowieka 43 lat mającego, światłego, z poświęceniem dla Ojczyzny, szanowanego powszechnie tak od równych sobie jak i u ludu, który się gorliwie tą sprawą zajął, — wziąłem się serdecznie do tej pracy.

Z początku ci tylko, co czytali książki, odemnie, zo-



stali pomału wciągnięci, dalej deputowani, a potem znaczniejsi z gromady chłopci, którzy mieli poniekąd zaufanie i dobrą opinię. Prawie cała niegdyś opozycja barońska była za sprawą Narodową. Urzędników tak dominikalnych jak i gromadzkich, nieprzychylnych nam starałem się w złe światło u gromad wprowadzić; zaś dobrych wójtów i deputowanych wystawiałem w najlepszym świetle.

Właśnie było upłynęło już trzy miesiące, jak tak tajemniczo rzeczy przygotowywałem, gdy naraz wciągnięty do tej tajemnicy wikary, ksiądz godny i pełen światła przybył do mnie z Radomskiego ze Skaryszowa i zaczął nietylko odradzać mi propagandę chłopów już za daleko posuniętą, ale nawet zaczął tego księdza z Krakowa nie w najlepszym świetle przedstawiać, tak jak i całe nasze przyszłe powstanie czystą halaburdą, do niczego dobrego nie prowadzącą, nazywał. Radził mi postępować tak jak wprzód, tj. abym lud oświecał, że tym tylko sposobem Polskę pewnie dźwignąć można, i odwoływał się na Trentowskiego, który w swej pedagogice tak radzi. Rady i przedstawienia były słuszne, ale, że uznałem zwierzchnictwo nad sobą ks. Głowackiego, który był od niego starszy i niemniej światły, odpowiedziałem mu: »Jeżeli ksiądz Głowacki po takim przedstawieniu, jak mnie zrobiliście, ustąpi, to i ja wtenczas«, a inaczej, — niech odemnie tego nie żąda.

Powiedział mi potem, że wprost od niego do mnie



jedzie, i że »u niego te przedstawienia nic nie znaczyły, owszem—przyjął je odemnie z oburzeniem i powiedział, że zostaje raz wyrzeczonemu słowu swemu wierny i zachęcał mię, być memu danemu słowu posłusznym«, Żałował mię, że się narażam bezowocnie, gdy jeszcze mogę być użyteczniejszym krajowi. Lecz to nie zmieniło mojego postanowienia i ja żałowałem znowu jego, że się zanadto przejął sposobem myślenia Trentowskiego w tym względzie. Odjechał odemnie i został wkrótce o kilka mil dalej przeniesiony. —

Ja nie zraziłem się tem przedstawieniem i dawałem czytać umiejącym, a już wciągnionym różne książki tyjące się naszej sprawy, budziłem w nich ducha narodowego i postąpiłem już był znacznie, gdy przybył do mnie 1 listopada 1845 w góry wysłany propagator Julian Goslar, z którym się poznałem w drodze do Morskiego Oka. Lecz to poznanie było kilkoma laty wprzód, które prawie w zapomnienie już poszło; ale tego przywiózł do mnie inny mój znajomy, człowiek tak myślący jak ja. —

Rozmawialiśmy w tym przedmiocie; mówił mi, że Dembowski Edward stoi na czele spisku, że powstanie miało być tego roku na W. W. Świętych, ale odłożone do przyszłej wiosny, że na zawołanie wystąpi 80.000 ludzi w walkę za Polskę, że wojska cesarskie są w części już nasze, że Krieg powiedział przed hrabią

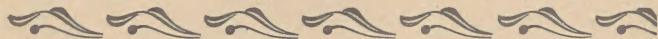


Zelińskim z Brzyska: że będziemy mieć trzy dni wojny, a sto lat pokoju. —

Na przedstawienie moje: »że w tych latach nieurodzajnych trudno się będzie nam utrzymać«, — odrzekł: — »To to jest właśnie — na co rachujemy, bo lud się prędzej z nami połączy. W pierwszych trzech dniach dostaniemy władzę i wszystko, a w czternastu nie będzie nieprzyjaciela w kraju. Wojna ta ukończy się zupełnie w roku«. Dowiedziałem się, że powstanie będzie w drugiej połowie lutego 1846, że termin już jest pewny, dla wszystkich trzech prowincyi w Listopadzie w Krakowie ustanowiony, i że powstanie z pewnością się uda.

Umówiliśmy się, żeby się zjechać w jednej wsi w obwodzie wadowickim, w pierwszą niedzielę grudnia, co i nastąpiło. Także mówiłem mu: żeby nas zbliżył z Krobickimi z Harkłowy, bo wiedziałem, że i oni gotowi iść na wroga, do czego już przed rokiem sposobili się i muszą stąd już z kimś w stosunku zostawać. —

Że się Goslar znał ze szkół z ks. Leopoldem Kmietowiczem, który półtora roku już był u nas wikarym, udał się także do niego, i z tym się porozumiał, aby i on przysposabiał lud do powstania. Zostawił nam kilka broszurek, pomiędzy innymi i katechizm demokratyczny i proklamacyę do ludu przez Edwarda Dembowskiego napisaną, a zaczynającą się: — »Ludzie! pracujcie od świtu do nocy; nic to złego, — bo do pra-



cy Pan Bóg wszystkich ludzi stworzył; ale pracujecie od świtu etc...« Tę proklamacyę dałem ks. Głowackiemu, który ją za niestosowną w nasze góry znalazł i takową w części przerobił. —

Ks. Kmietowicz, człowiek dobry, miał wzór ze swych poprzedników jako Jana ks. Makucha, którego lud kochał, bo on wszystko, co miał, ludowi potrzebującemu dawał i był w całym znaczeniu tego słowa »dobrodziejem«, starał się ile mógł iść w jego ślady, był pracowitym w zawodzie duchownym tak, iż mu mało czasu zostawało do innego działania, czego proboszcz Sutorski był przyczyną, który udając chorego — nic nie robił, tylko umarłych za pieniądze grzebał i mszę św. w niedzielę odprawiał; reszta zaś na księdzu Kmietowiczu ciążyła. Lud cenił jego pracę, polubił go, a i on lud także; a że miał czasu mało, nie mógł tyle się oddawać narodowej sprawie. Wskazywałem mu tylko ludzi już przysposobionych, których polecałem, by ich jeszcze lepiej utwierdził.

Byli chłopci tacy, którzy stosownie do moich poleceń innych przygotowywali na swoją odpowiedzialność. —

Miałem starego, wysłużonego żołnierza polskiego nazwiskiem J. S., który pod carewiczem Konstantym od r. 1816 i w powstaniu Listopadowem służył, a po upadku powstania tu w góry przybył i szczęśliwie się jako żebrak ukrywał. — Dawałem mu wsparcie, a on chodził pomiędzy ludem tatrzańskim z Ewangelią św., którą im czytał, a przytem z zapalem młodzieńczym opo-



wiadał słowa prawdy, za co i od ludu jałmużnę otrzymywał.

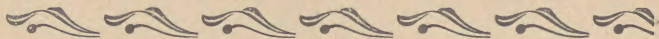
Także był od roku prawie strażnik Wojciech Lebiocki przezemnie wciągniony, który wśród strażników propagował; lecz trudno szło bo czas był za krótki.—

Ksiądz chodził po prządkach z Żywotami świętych gdzie bywało kilkanaście ludzi zgromadzonych, którzy przy jednym świetle len przędli, — czytał im takowe i mówił przy tem zawsze o Ojczyźnie. —

Ja zaś w takich wieczorach chodziłem z »Przyjacielem ludu«, czytałem im z tego stosowne historye narodowe, przypominałem im dawne czasy, porównyując je z dzisiejszemi i zawsze im korzystnie wystawiałem panowanie polskie.

Chochółów ma do 60 nr. sołtysów, którzy dzisiaj są tylko chłopami, ale zawsze są dumni ze swoich przywilejów, które mają od królów polskich, a których rząd austriacki nie potwierdził, o co się bardzo gniewali. Z tych kilku tylko ze znaczniejszych wciągnąłem do tajemnicy. — Oświadczyli się gotowymi na Niemców, ale pytali się: »Jak to potem będzie, gdy Niemców wygonimy, kiedy niema potomka po tamtych królach?« Powiedziałem, że są jeszcze; — a tem zaspokoilem ich. —

Chłopi zaś z gromady, ci co byli wtajemniczeni, pytali mię o to samo, a gdy im odpowiedziałem, że sobie potem mogą króla obrać, to powiedzieli mi: »Toćby



nam dało....! dyćby z chłopą nie obrali króla, tylko z pana, a gdyby obrali takiego jak nasz baron był, toćbyśmy wtedy zamiast jednego pana w całym państwie, dwudziestu w jednej wsi mieli«. Na co im powiedziałem, że gdy będą chcieli, to mogą mieć Rzeczpospolitą, i wyłożyłem im to w całej obszerności; — na to więc przystali i powiedzieli, że tak być musi. —

Ci zaś, co czytać umieli, tak się rozkochali w czytaniu książek historycznych, że mi bardzo często odnosili — z uwagą przeczytane i o nowe prosili. Ci byli na każde zawołanie gotowi i po większej części byli to moi uczniowie, — z pierwszych lat mego tam bycia.

Zdarzyło mi się parę razy, że żony ich przychodziły do mnie z prośbą, abym im nie dawał książek do czytania, bo nie chcą młócić ani rżnąć sieczki, tylko czytają. Musiałem wtedy ich napominać, by dla tego gospodarstwa nie zaniedbywali.

Przy każdym odwiedzaniu mnie zawsze się pytali: »A kiedyż ta co będzie«?

— Przyjechał znowu w nasze góry powyżej wymieniony ksiądz wikary, ale już nie z przestrogami, ale owszem, tak jak wtenczas z całą siłą przeciw powstaniu mówił, tak teraz z całą siłą wymowy był za powstaniem. Nas nie trzeba było zachęcać, i bardzośmy się ucieszyli z jego nawrócenia. Od niego dowiedzieliśmy się więcej jeszcze o stanie naszej sprawy, którą wtenczas każdy w różowym kolorze chciał widzieć i wi-



dział. — Że był upoważniony, odebrał od nas przysięgę wierności i posłuszeństwa, której nawet uczynić nie chciałem, bo rzecz sama była święta dla mnie, aby ją bez tej, — popierać.

Po różnych naradach i napomnieniach, by jak najostrożniej działać, odjechał. —

Po nim niedługo przybył znowu inny propagator w nasze góry do ks. Głowackiego, nazwiskiem Mikołaj Kański, człowiek zdolniejszy od Juliana Goslara, i w tym względzie do nas wysłany. Zniósł się z ks. Głowackim, a że u nas już był Goslar, więc dał nam zlecenia prawie te same, co pierwszy i odjechał z przyrzeczeniem, że przed powstaniem jeszcze raz u nas wszystkich będzie.

Po odjeździe jego przybył ks. Głowacki z ks. Janiczakiem do mnie i powiedział mi, co Kański mówił i umówiliśmy się o haśle itp.

Znosiłem się z ks. Głowackim, któremu postępy moje raportowałem, a polegając na nim zupełnie, nie wchodziłem w tajemnice, które, jak mi się wtenczas zdawało, miał mieć. —

Ks. Głowacki wpływał także i na księży, lecz nie na proboszczów, bo ci byli do niczego, tylko na księży wikarych; i tak, — w jego sąsiedztwie był ks. Janiczak, który do takich ofiar był gotowy, przez niego wciągniony, tak jak i inni.

Był i u nas w Tatrach strach na wiosnę w r. 1845



przez oficjalistów ze Zakopanego rozpuszczony, wskutek zaareztowania Edwarda Ryłskiego z Gorzkowa w Bocheńskim, że »panowie będą rznąć chłopów«. Z trudnością przekonałem ich, dowodząc im, że ich jest tyle tysięcy, a ledwo gdzieniegdzie jeden pan, któregooby kapeluszami zarzucili; — i wystawiałem im, że to tak dla panów jak i dla kraju jest gorzej, gdy chłopów dużo umiera, bo nie ma ludzi, którzyby grunta obrabiali, a stąd głód, jak i: coby panowie z gruntami robili, gdyby ich, tj. chłopów nie było?... że sami tak wielkich gruntów nie mogliby obrobić, nie mieliby kim, a ich za mało i nieprzyzwyczajeni do pracy. —

Słyszałem i tę mowę pomiędzy niemi, że »dopóty dobrze nie będzie, póki czerniawy nie będzie!« Mówili także, że »przyjdą takie czasy, że te portki lub kapelusz, co są na postrach wróbla w jarcu (jęczmieniu), zdjąłby nie jeden pan i jeszcze opłaciłby złotem, gdyby je tylko dostał«. — Pytałem się ich, kto im to mówił? odrzekli, że im to ich ojcowie jeszcze mówili, że takie czasy nastaną.

Szły mimo takich gadań rzeczy pomyślnie w górach, które prowadziliśmy z ostrożnością wszelką, bo byliśmy otoczeni zgrają czujnosów, byli to oficjaliści Czechi i Morawce p. Homolaczów, którzy państwem Kościeliskiem i Ludźmirskiem z 19 wsi się składającym zarządzali, a lud nadzwyczajnie darli pod różnymi pozorami. Często



wojsko, tak jak i baron sprowadzali, i tem tak na siebie lud oburzyli, że gdy byłem na 3 miesiące przed powstaniem w Zakopanem i Kościeliskach, wsiach do naszej parafii, a do państwa kościeliskiego należących, i słysząc ich skargi pocieszałem ich, że da Bóg na wiosnę będzie lepiej, to oni mi na to powiedzieli: »Daj że to sam śliczny Jezus, bo i nam to samo mówił dziad, co tu pomiędzy nas chodził z Ewangelią. Wieral« — odezwały się i kobiety »pójdziemy na Bańkówki (Poronin) i wyspowiadamy się, a potem z chłopami pożeniemy przed sobą het w dolinę tych psiałowców niemców, co nam już tyle dożarli!«

Słyszałem często mówiących tych Zakopiańców: »Niech dyabli wezmą tyle się już skarżymy do niego, a nie mamy nic na to. Od czegoż on tam jest; jeno wziąć smoka i ze żydami na wozie przypawęzować i w morze wtrzepać«. —

W miesiącu grudniu przybył do mnie ks. Głowacki z księdzem Janiczakiem, w celu bliższego porozumienia się; mówił, że przybył komisarz cyrkularny Maresz, że będzie siedział w Nowymtargu, skąd będzie miał wszystkich na oku. Powiedział mi, że hasłem sprzysiężonych jest »Alcybiades chudzina« i że z każdym takim coby tu przybył i to słowo mi powiedział, mogę śmiało mówić tak, jak gdyby z nim samym. — Powiedziałem



mu na to, że nie chcę z nikim o tem mówić, tylko z nim samym, a gdyby nie można było, to niech mi da takie hasło, coby tylko pomiędzy nami obydwoma było a któreby tylko temu powiedział, co go wyśle do mnie. — Przystał na to i dał mi hasło: »Strzelec alpejski«. —

Powiedział mi także, że jeżeli napisze kiedy, żebym mu nuty i kancyonał oddał, to znaczy, abym natychmiast do niego przybył.

Pytałem się go, czy nie wie dnia powstania, bo miałem płótno surowo na sprzedaj, którem handlowałem. O dniu — powiedział, że nie wie, a płótno kazał mi sprzedać — jak tylko mogę, choćby i ze stratą, jeżeli nie mam kogo pewnego, któremubym mógł oddać do wiernych rąk; co też i ze stratą zrobiłem. —

Pytał mnie się o dzieci, — jak postanowiłem. Powiedziałem — że dotąd nic, i tylko w ostatnim razie rachuję na znaną mi dobroć moich rodziców, którzy — chociaż nie w stanie możliwym zrobienia im coś, dadzą mi jednak jakiś sposób do życia, tem bardziej, że już są w drugiej klasie głównej w Nowymtargu. Na to zaręczył mi: że w razie gdybym padł, Rząd narodowy zajmie się ich losem, a w przypadku nieudania się, to mogę rachować na szlachetność obywateli, którzy o dzieciach moich nie zapomną. —

Przytaczam i to, że — gdyśmy się potem połączyli z rozmową z ks. Janiczakiem wikarym ze Szaflar i mówiliśmy o naszych siłach, które tak wysoko racho-



wali nasi spiskowi, powiedział ks. Janiczak: »Wiele się obiecuje przez samochwalstwo, i—by za patryotę uchodzić, ale jak przyjdzie do czynu, to i połowa nie stanie«. —

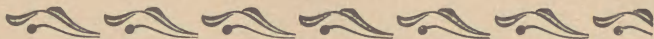
Wtenczas rachowaliśmy nasze siły, a zwłaszcza moje, które się tylko na kilkunastu pewnych chłopach zasadzały, jak i w Czarnym Dónajcu, na kilku tylko, których leśniczy Woźny przysposobił. — U nas w Tatrach — nawet nie było innych sił. —

Homolacz w Zakopanem — sam nie Polak — tylko Morawiec, miał do stu oficyalistów, pomiędzy którymi tylko trzech Polaków, a reszta byli sami Morawcy, Czechy i Niemcy; więc tuśmy na nikogo nie rachowali, tylko na poddanych jego.

Uznański w Szaflarach, dumny człowiek, może też nietylko z nazwiska Polak, ale do naszego związku nie należałby; bo takich jak my—nie raczyłby uczcić nawet spojrzeniem, a niedopieroż mieć co z nimi. Oficyalistów wtenczas miał także szujów obcych, — więc i tu nic nie było.

Stadnicki Hilary z Pieniążkowic — był dobry Polak. Ale umarł przedtem; zaś oficyalista i plenipotent jego Piątkowski — chociażby może i chciał był do nas należeć, tobyśmy go nie przyjęli byli, bo był tyran dla chłopów, i dlategoby nam chłopci nie mogli wierzyć, że my chcemy dobrze; więc i tu nic.

Brat Hilarego — Leon Stadnicki z Klikuszowy —



podobno dobry Polak, ale nie mieszkał tu, tylko w Mszanie; zaś oficjaliści — byli obcy. Tylko w Łopuszny pan Tetmajer, którego syn siedział wtenczas już w Bochni, i Krobicki w Harkłowy z synami, prawy człowiek — o których wiedziałem, że są dobrzy Polacy i gotowi bić się za Ojczyznę. — Lecz z tymi nie miałem znajomości, gdyż jako organista, nie mogłem się w tem z nimi porozumieć, bo biorąc miarę z drugich organistów, — ufaćby mi nie mogli. Ja wiedziałem o ich prawości, ale oni o nas nie wiedzieli, tylko o Głowackim i Janiczaku, z którymi ostatni cokolwiek znał się.

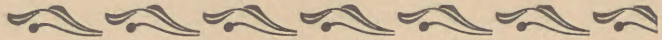
Ten tedy kreiskomisarz Maresz zwołał wszystkich wójtów z całej okolicy, dniem przed Wigilią Bożego Narodzenia, — do kancelaryi ratusznej w Nowymtargu; gdzie ich tak dużo było, że się pomieścić nie mogli, i tam wystawiwszy im dobrodziejstwa cesarza, które im czyni, napominał, by byli wierni za to, a każdego, ktoby ich przeciw cesarzowi namawiał, niechby był ksiądz, pan, sędzia, lub ktokolwiek, — aby zaraz związawszy do cyrkułu odstawili, gdzie im za takiego 20 Reń. wypłacone będzie. Nakazał, aby na każdym końcu wsi po dwóch chłopów stało na warcie; a szczególnie tam, gdzie droga prowadzi przez wieś, — aby każdego nieznanomego — pana, chłopą, babę — lub dziada bez paszportu idącego lub jadącego zatrzymali i do dominii dostawili, za którego także pieniądze dostaną — gdy będzie podejrzany człowiek.



Zaraz w nocy dowiedziałem się o tem od powracającego pocziwego wójta z Witowa, Macieja Ciuntaka, który przyszedł mi to powiedzieć i dowiedzieć się odemnie — dlaczego się niemcy tak boją, a gdy mu powiedziałem dlaczego, powiedział mi: »Żadnej warty nie dam po wsi, ani też każę kogo zatrzymywać; a gdyby taki do mnie przyszedł, to co Bóg nagodził, — dam mu zjeść i pokażę drogę — jak ma iść, by na habrycarzy nie wlaźł. — Mają habrycarzy, to niech sobie pilnują; — ale my dobrych ludzi jeszczebyśmy łapać mieli?« — Tu się oburzył i odtąd był nasz, bo potem mowilem z nim więcej, gdyż się zupełnie oddał naszej sprawie, a co robił, będzie niżej.

Jednak takich wójtów mało było. Za jego tylko przykładem w naszym państwie takich wart nie było; ale za to w państwie Szaflarskiem, Klikuszowskiem, a szczególnie Kościeliskiem, gdzie oficjaliści z Zakopanego po nocach jeździli i kontrolowali te warty, a gdzie nie zastali, tam musieli ci — co nie byli po 10 fl. w. w. płacić. Chłopi tą karą przestraszeni pilnowali, a jeżeli schodzili, to patrzyli gdzie z domu, czy nie idzie lub nie jedzie taki urzędnik, a zobaczywszy — wychodzili na drogę, o czem, gdy się ciż dowiedzieli, przebierali się za chłopów i tak chwyтали, bo ta kara — była im przeznaczona.

Aż chłopci się zmówili i tak przebranego chwycili, a nuże dopiero okładać kijami, bić porządnie, wołać:



»a ty włóko! a gdzie pass i t. p.« — A ten krzyczy: że on Szmid, leśniczy z Kościelisk«. — a oni: »— Co?! ty śmiesz gadać — żeś ty Śmid, leśniczy z Kościelisk?... a dyć tamten w pańskim odzieniu chodzi...« — i dalejże znowu go łupić, bo niby go nie poznali i tak szturkając zaprowadzili do wójta, który zrobiwszy światło i przypatrzywszy się mu, — poznał go, a chłopci pozdejmowali kapelusze i zaczęli go przeproszać, ale on nie tracąc miny, dobył dwacatnika i dał im na wódkę za to, że tak dobrze pilnowali. — Od tego czasu już mu się nie chciało po chłopsku przebierać, a i po pańsku ubrany mniej ich kontrolował. — Warty te trwały do wybuchnięcia powstania.

Był także taki czujnos morawiec Sochor Franciszek, leśniczy w Witowie, mający zaufanie u rządu, z którym byłem — jak to po sąsiedzku — w przyjaźni i nawet byliśmy obopólnie skumowani. — Od niego dowiedziałem się, że rząd wie o nastąpić mającym powstaniu, i że ma wszystkich na oku.

Takim był i poborca cła galicyjsko-węgierskiego w Suchej Górze nazwiskiem L a s s k a, którego ojciec — także taki urzędnik, — w r. 1809 z nad Bugu — przed naszymi uciekał. — Ten bywał 3 razy w tygodniu i był otwartym nieprzyjacielem Polaków, i nie wahał się najobelżywiej o nas i naszych dążnościach przedemną mówić. Potakiwałem mu jak chciał, i miał potem o mnie najlepsze wyobrażenie, myśląc że ja rządowi austrya-



kiemu najprzychylniejszy. — Gdy w grudniu zaaresztowano pierwszych za dążności polityczne, to się aż wściekał na naszych mówiąc: »Czego te bestye chcą? i jeżeli ich cesarz należycie nie ukarze, to gotowe te bestye co zrobić.« Ja zawsze — jak długo u mnie był — jego zdania się trzymałem i tym sposobem uszedłem jego sideł, i to tak, że nie miał na mnie najmniejszego podejrzenia. Ja zaś, by mu się jeszcze lepiej wydać, kupiłem portret cesarza Ferdynanda, i tam — gdzie Kościuszko wisiał — zawiesiłem. Nie uszło to jego uwagi i spodobało mu się bardzo, — gdy mu na zapytanie: dlaczego to zrobiłem — żem Kościuszkę przeniósł, a cesarza dał na jego miejsce? odpowiedziałem, — że Kościuszko był tylko sławnym polskim wodzem, a cesarz jest naszym monarchą i jemu się pierwszeństwo należy.

Tak zwracał na wszystko uwagę, — że pałasza mojego rękojeść, która była mosiężna, gdy się przez ćwiczenie nim tak wytarła była, jak gdyby ją kto wyczyścił, zapytał mnie zaraz: »Czy się do rewolucyi sposobie — że mam pałasz tak czysty?...« Odrzekłem mu na to: »W drodze byłem, a zapewne w czasie tej — tak się wytarł...« Od tego czasu — po każdym ćwiczeniu się bronią — smarowałem octem rękojeść — by prędko zaśniedziała.

Tym sposobem byłbym uszedł wszelkiego podejrzenia, gdyby nie wypadek następujący:

Był w sąsiedztwie mojem o milę od Chochołowa



— w Czarnym Dónajcu wtajemniczony leśniczy i aktuarysz przy dominium — nazwiskiem Józef Woźny, człowiek ukształcony, a przytem poczciwy i dobry Polak, mający około 26 lat. Z tym byłem w ścisłej przyjaźni; bywaliśmy często u siebie i radzili o przyszłym naszym powstaniu. Z tym to właśnie przybył Goslar Julian do mnie, jak wyżej powiedziałem, i zostawił u niego jeden egzemplarz proklamacyi do ludu Dembowskiego. On chwycił się za gorąco propagandy, chodził po prządkach i czytał tę proklamacyę, która — jak mówił — ludziom się podoba. Chciał on tak lud przygotować — jak ja, ale mu nie szło, tak jak mnie, na co się skarżył, że lud gorszy od mojego, i że zepsuty.

Gdy raz — już w styczniu powracałem od synów, którzy chodzili do drugiej klasy w Nowymtargu i wstąpiłem do organisty w Czarnym Dónajcu, zastałem tam Woźnego, który właśnie tę proklamacyę z zapalem czytał. Zwróciłem mu uwagę aby był ostrożny, bo stał syn strażnika finansowego, chłopak 16-letni, który się uczył na organistę i słuchał tej proklamacyi. Ale on nie usłuchał mojego napomnienia, i owszem powiedział mi: »Jak mnie wezmą do kozy, to mnie odbijecie«. Lecz ja mu powiedziałem, — że lepiej — co my kogo, aniżeli nas kto odbije i z więzienia uwolni. Jak widziałem, że nic mu moje napomnienie nie pomogło, bo czytał dalej, więc odebrałem mu i schowałem. On się upierał — bym mu oddał, a ja zamawiałem go czem inszem. Trwało to



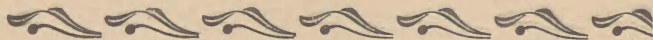
chwil kilka, aż nareszcie przestał się upominać. Odjeżdżając do domu — odprowadził mnie do sanek, gdzie mu oddałem tę proklamacyę i upomniałem, by ostrożniej działał, bo ma nad sobą Kulczyckiego — sędziego policyjnego, o którym już wyżej mówiłem, bo ks. Wilczek dziedzic, a od rządu — usu fruktuaryusz zwany — miał dwóch sędziów; jeden — był jego krewny mandataryuszem i komisarzem dóbr, exrespicyent fajczany, człowiek nikczemny; a drugi — sławny w okolicy Franciszek Kulczycki, był sędzią policyjnym, dlatego od ks. Wilczka przyjęty, że wiedział wszystkie wybiegi barona Borowskiego — tyczące się procesu czarno-dónajeckiego, u którego był wszystkim, a potem barona haniebnie zdradził i przeszedł do służby ks. Wilczka. —

Kulczyckiego biografia jest krótka, ale dostateczna do poznania go:

Był już w 24 roku życia mandataryuszem.

W roku 1822 był w Wiśniczu w kryminale za skradzenie podatków, skąd wyszedł z braku dowodów. Po r. 1831 był bardzo czynnym szpiegiem i przyczynił się do wydania moskałom przeszło 100 emigrantów mocno skompromitowanych, za co od władzy cyrkularnej bocheńskiej — w nagrodę zasług położonych — r. 1834 dekret na mandataryusza powtórnie otrzymał. — Był od-tąd mandatarem; a że nie porzucił szpiegostwa, został bez chleba i był przy magistracie bocheńskim dyurnistą.

Miał żonę — z Bochni mieszczanę, dobrą kobietę,



z którą miał 7-o dzieci i dostał do 2.000 Ry. c. m., które przemarnił. Prowadził procesa żydom i innym, z czego się najwięcej utrzymywał, a że trudnił się szpiegostwem swych przełożonych, został znienawidzony od nich i znalazł miejsce u barona Kajetana Borowskiego w r. 1840, który właśnie takiego akredytowanego u rządu i kręta — potrzebował.

Gdy on przybył do barona za sędziego, było wtenczas w Dzianiszu — gdzie baron mieszkał — prawdziwe gniazdo łotrów i nie ustępowało baronom niemieckim 13 wieku. —

Tu Kulczycki rozwinął swoje szelmoskie czynności tak dalece, że i żona na tem cierpiała, która wkrótce — ze zgryzoty w r. 1843 umarła. —

Jeden wypadek niech posłuży za dowód, co to za człowiek. Nie dosyć — że był szpiegiem i jeździł aż do Podwilka na Węgry szpiegować osobę — przez cyrkuł Sądecki sobie zaleconą, ale nawet będąc raz na imieninach w Chochołowie u plebana ks. Sutorskiego, ukradł mu w banknotach 385 fl. c. m., a potem — gdy się pytał pleban — przyznał się, że wziął dlatego, że mu nie chciał pożyczyć, które przyrzekł zwrócić, a potem nie chciał, i gdy go pleban skarżył, wyparł się wszystkiego.

Ten więc Kulczycki był najczynniejszym szpiegiem, ale żeśmy o nim wiedzieli co on za ptaszek, więc ostrożnieśmy rzeczy do końca prowadzili, a chłop mu też żaden nic nie powiedział, bo go nienawidził. —

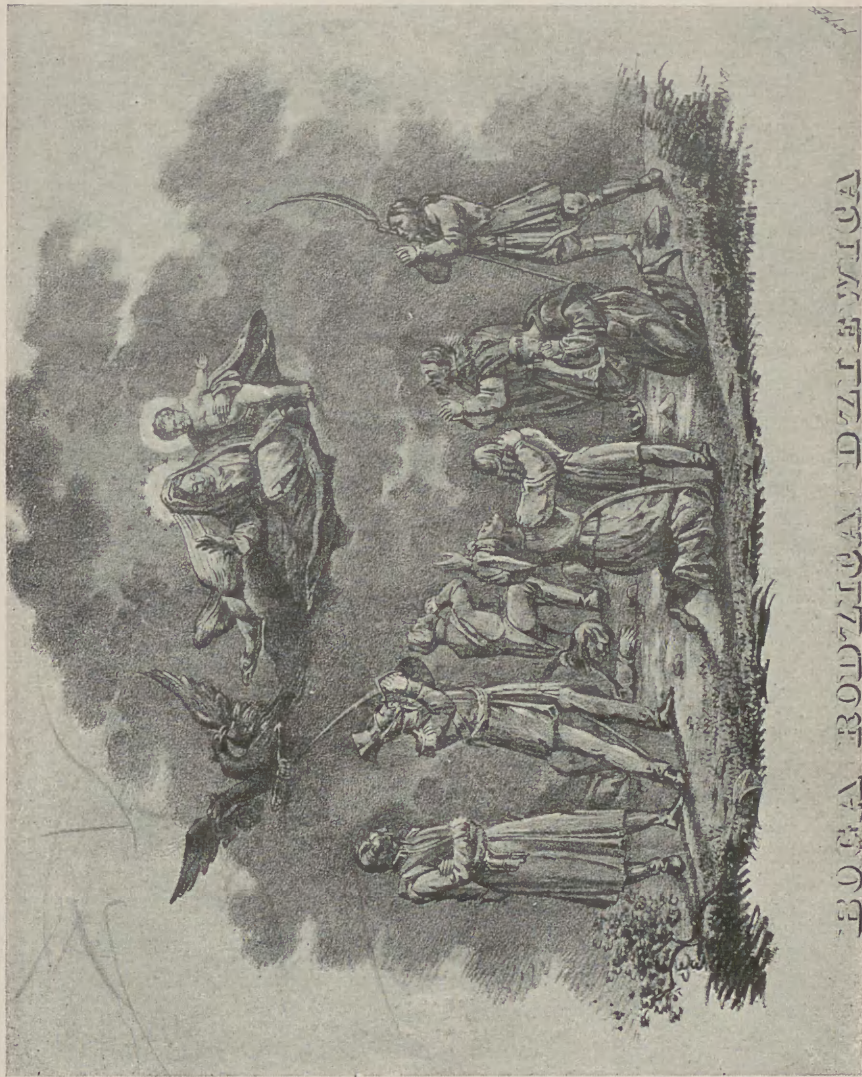


Ten łotr wierutny chodził codziennie do kościoła na mszę św., nie z nabożeństwa, bo u niego nie było ani czci, a tem mniej wiary, — tylko aby ks. Wilczkowi, a i drugim łatwowiernym oczy zamydlił. —

Woźny go nie cierpiał, a musiał czasem, gdy było pisania dużo pomagać mu. Radziłem wtedy Woźnemu, aby mu basował i chodził z nim do kościoła, by tym sposobem uwagi nie ściągnął na siebie; tem bardziej, że już ze szkół był w podejrzeniu. Usłuchał mojej rady i postępował tak, że się zdawało, jakby mu Kulczycki prawdziwie sprzyjał.

Przyjechała potem do niego jego matka z Z., z Wadowskiego, kobieta wiejska, staruszka, ale bardzo poczciwa, bo wiedziała o wszystkim, gdyż ją syn uprzedził i mówiliśmy przy niej o powstaniu, a ona nie tyle nas żałowała, gdybyśmy padli w czasie powstania, jak tego się lękała, by nas wprzód nie poaresztowano. Osobliwie mnie mówiła: »Gdybym była pana nie znała, tobym tyle nie żałowała, ale poznavszy teraz pana, bardzobym żałowała«. Słowem — kobieta wiejska, ale Polka duszą i sercem taka, jak i najukszałceńsza. U niej to — w pierwszą niedzielę grudnia była umówiona z Goslarem Julianem schadzka.

Tę szanowną matkę zaprosiłem wraz z synem do siebie, a chcąc ją uraczyć jako Polkę, matkę prawego syna, darowałem jej obraz, malowany olejnymi farbami na płótnie, przedstawiający Matkę Boską Często-



BOGA RODZICA DZIEWICA



chowską w jasnych obłokach, otoczoną wokoło gwiazdami, z pod której ręki prawej orzeł biały do połowy wysunięty — skubał dwugłowego czarnego i skrzydłami trzepotał, gdy wtem z boku, z góry — biły pioruny w dwugłowego i już jeden łeb mu zwisnął, a drugi jeszcze się trzymał. Widać było piórka czarne — jak leciały na dół, które mu orzeł biały wyskubał. Pod stopami Matki Boskiej były ciemne obłoki, a pod obłokami klęczał lud polski na ziemi, z wzniesionymi rękami do góry; był zakonnik Bernardyn, chłop polski z wyproszoną kosą, kobieta polska z dziećmi, szlachcic w konтусzu, ułan, król stary w purpurze, korona z berłem obok niego na ziemi, a pod spodem napis: »Boga Rodzico Dziewico! — módl się za nami, do Ciebie się uciekamy«. —

Dając jej ten obraz, powiedziałem, żeby, na przypadek ten, gdyby się ją kto pytał: skąd ma taki obraz? — powiedziała, iż kupiła na Kalwaryi, albo — że od tych kupiła, co noszą obrazy na sprzedaj.

Odjechawszy do syna, zabawiła jeszcze kilka dni u niego, i miała tak, jak jutro, do domu odjechać; gdy popołudniu sypią się strażniki od naprzeciw mieszkającego Kulczyckiego, który wraz z oberkomisarzem Molitorem za strażnikami wyszedł. — Było to podobno 4 lutego. Woźny był wtenczas w domu, widział ich, i jakby wiedział — że do niego, złapał za paczkę książek zakazanych, i nie mając czasu, wyniósł je do go-



spodarza — przez sień mieszkającego i tam, w jego łóżku w głowę schował, wracając zaraz do siebie. Ledwie był w stancyi, w której i matka jego była, gdy usłyszał i zobaczył strażników około okien, w sieni, aż i oberkomisarza z Kulczyckiem, za którym rój strażników wlaźł i zaczął szukać w każdym miejscu, gdy tym czasem oberkomisarz z Kulczyckim — listy i papiery przeglądali. — Znalezione wyżej opisany obraz zwinięty w trąbkę; zapytano Woźnego — czyj jest? który powiedział — że matki, a na zapytanie: skąd go ma? odrzekła, że jadąc do syna — kupiła go na drodze za dwa dwacatniki od tego — co obrazy nosi. Gdy jej powiedziano — że to jest bardzo rewolucyjny obraz, odpowiedziała — że ona nie wie — że taki jest, tylko widziała że jest Matka Boska, ten gołębek to Duch święty, a to czarne — to wrona, a ci ludzie na dole — to że się modlą i zdaje jej się — że to bardzo śliczny obraz, na którym nie ma nic złego. —

Szukano ściśle, lecz nic nie znaleziono w pomieszkaniu Woźnego; udały się więc psy gończe do pomieszkania gospodarza, któremu wszystko poprzewracawszy, tylko jedynie łóżka tego nie ruszyli, w którym książki były, jak gdyby ich co zaślepiło; i nic nie znaleźli tak na strychu, stodole, stajniach, bo juźcić cóż było znaleźć, kiedy nigdzie nic więcej nie było, tylko jedynie ten obraz. —

Z początku myślał oberkomisarz doprawdy, że ten



obraz matka kupiła, ale gdy mu Kulczycki podszeptał, że to Woźny malował, bo był na technice w Wiedniu, i różne do budownictwa abrysy robił w Czarnym Dónajcu, powstał oberkomisarz na niego, i zaczął krzyczeć, aby się przyznał — że on robił ten obraz, że on, (tj. ob. komisarz) wie o wszystkim — co on tu robi, że ma książki zakazane i że niedawno jedną taką buntowniczą czytał u organisty, którą mu Andrusikiewicz wydarł. —

Gdy Woźny o niczem wiedzieć nie chciał, skuto go i wzięto z sobą do Nowegotargu. — Matka jego będąc wolną, posłała natychmiast dwóch konnych posłańców chłopów, a każdego inną drogą do mnie, którzy w nocy, około godziny 11-ej prawie wraz przybyli, a uwiadomiwszy mnie — odjechali.

Ju byłem przygotowany na podobną wizytę i nic nie miałem w domu. — Ale — że byłem dniem wprzód na Węgrzech i tam kupiłem kilka funtów prochu, lotek, jako też kilka garncy wina i 8 funtów dobrego tytoniu, co wszystko przez komorę w nocy — dla nastąpić mającego powstania przemyśliłem, a co wszystko miałem jeszcze w domu, i sztylet, który wraz z prochem i lotkami schowałem, a książki, które były u chłopów — kazałem najściślej schować. —

W nocy, — czy to z przeczucia, czy z wrażenia tego, że mojego poczciwego Józka uwięzili, miałem okropny sen, który mnie niezmiernie zmęczył; bo śniło mi się, że mnie pokaleczywszy, okrutnie się nademną pastwili. Ja



w tym śnie tak się z nimi okropnie szamotałem, żem się aż obudził, a obudziwszy się jeszcze mi się zdawało, że się z nimi szamoce. — Lecz wstawszy, przypomniałem sobie przysłowie: »Sen mara, Bóg wiara«. —

Tymczasem oberkomisarz odwiózłszy Woźnego do Nowego Targu i przywiózłszy ten obraz, otrzymał od będącego tam już od początku grudnia komisarza cyrkularnego Maresza rozkaz, aby matkę aresztował, a u mnie — by rewizję zrobił i znalazłszy co, by mię także przywiózł. —

Ten oberkomisarz jadąc z swojemi — psinkami — wstąpił po matkę Woźnego w Czarnym Dónajcu, która godziną wprzód do domu o 7 mil od Czarnego Dónajca w Wadowski cyrkuł odjechała. — Natychmiast wysłał w pogoń za nią respicyenta Ulachtę z 3 strażnikami, którą aż do własnego domu pędzili i tam zaaresztowali, — gdzie ona o godzinę wprzód stanęła. — Tutaj jeszcze uczęstowała ich kawą i co było w domu, potem siadła na wóz, gdzie obok niej, 3 strażników z najeżonymi bagnetami siedziało, a respicyent na osobnej furze za nią jechał, i tak, pod taką eskortą kobietę wiekową przywieźli do Czarnego Dónajca i w pomieszkaniu syna osadzili, gdzie jeden strażnik przy niej, z karabinem na warcie był. Kulczycki chodził do niej ubolewał nad nią, radził jej, by się przyznała, bo się już jej syn przyznał, że on ten obraz malował, tylko od niej, zawisło uwolnić syna i siebie, żeby tylko zeznała, — że on go malo-



wał. — Tem wewnątrz strzeżeniem i losem syna tak się biedna matka zmartwiła, że niebezpiecznie zachorowała. —

Lecz wracam do rzeczy. — Gdy oberkomisarz wyprawiał respicyenta, zaraz wziął z sobą Kulczyckiego i przyjechał do Chochołowa przed kasarnię strażników; stanął; on i strażnicy zleźli i nuże szybkim krokiem ku mojemu domu. — Ja właśnie po szkole byłem i zacząłem jeść rosół, gdy puka ktoś na drzwi, ale nie czeka — aż powiem wolno; wchodzi figura — chustką zieloną zamatulona, przy szablinie i mówi mi, że jest oberkomisarzem z Nowegotargu a zarazem mówi mi, żebym mu dał tę książkę, com przed paru tygodniami wziął Woźnemu, gdy ten czytał u organisty w Czarnym Dónajcu. — Ja powiedziałem, że nie słyszał Woźnego — aby tam co takiego czytał, a tem mniej, abym mu jaką brał. — Rozgniewał się; zapytał — gdzie jest mój stolik do pisania? —

Właśnie w tej chwili weszli oberstrażniki, Kulczycki, a w sieni około okien było pełno strażników. Kazał zaraz szukać w stoliku, dalej szafę z książkami otworzyć musiałem, których przeszło 600 sztuk było; przeglądał sam niemieckie, a inne strażniki. Znalazł Lafontaine jakąś — bo tytułu nie pamiętam i mówi — że zakazany; jam odrzekł — »że nie wiem«. Kazał sobie pokazać rejestr książek — który miałem, i szukał, aż tę zaciągniętą znalazł; poczem powiedział: »stąd wnoszę, żeś pan nie wiedział



że zakazana, bobyś jej w rejestr nie zaciągnął», — ale jej też i nie wziął. —

Szukali w fortepianie, siennikach, poduszkach, kołdrach, pod podłogą, i gdzie tylko jakie miejsce było — do mego domu należące, a Kulczycki tymczasem mówił mi, »że nie wie co się to dzieje, bo Woźnego wzięli i siedzi w kajdanach okuty w Nowymtargu«. — Ja zdziwiłem się — niby nie wiedząc o niczem. — Prosił mię Kulczycki, — jeżeli mam wódkę i kawałek chleba — abym dał, bo głodny, gdyż obiadu nie jadł i niby nie wiedział — gdzie miał jechać. — Dałem chleb, masło, zamiast wódki araku, przyniosłem z przemyconego wina bardyjówkę, z którego oberkomisarz się napił, a Kulczycki araku.

Szukano w piwnicy, a gdyśmy na górę poszli, i w zbożu szukali, odosobnił się jeden oberstrażnik i powiedział mi, że: »chłopak od organisty w Czarnym Dónajau wygadał w kasarni u strażników, o czym się Kulczycki dowiedział i denuncyował Woźnego i mnie. Lecz panu nic nie będzie, bośmy nic nie znaleźli. — Radował się Kulczycki i gadał nam — abyśmy dobrze szukali, bo mówił, — że pan pewnie masz różne książki; lecz się omylił«. — Ja udałem, jakby mi to było obojętne i tylko mówiłem: »żeście mnie panowie niewinnie sprzewracali«.

Gdyśmy ześli z góry, i oberaufzeery powiedzieli oberkomisarzowi, że nigdzie nic nie ma, zaczął mnie tenże napominać w dobroci, abym dobrowolnie oddał, że mi



za to nic nie będzie, bo się przyznał Woźny, że ja mu tę książkę wziąłem, a gdy oddam, to ujdę podobnym rewizjom, a inaczej — często je będę miał. —

Powiedziałem — że Woźny kłamie, bo ja o niczem nie wiem. — Pytał się mnie — czy widział Matkę Boską olejnymi farbami malowaną na płótnie? Powiedziałem, że takiej Matki Boskiej nie widział. Na co on: — »że znalazł u Woźnego obraz taki najrewolucyjniejszy: »höchst revolutionäres Bild«: a gdyśmy dłużej tak mówili, i ja na jego napominania zawsze mu zaręczałem — że o niczem nie wiem i zupełnie spokojny, i rządowi najwierniejszy jestem; on zaś — że z Woźnym żył w przyjaźni i musiałem o tem wiedzieć, a on mi w me wierne przywiązanie do rządu nie wierzy dopóty, póki książki nie oddam; — czem znudzony odszedł z swoją zgrają; ja zaś wyprowadziłem go i sucho pożegnałem.

Odemnie udali się do szynku winnego, gdzie przybył *einemer* z Suchej-Góry Laska i zaręczał Oberkomisarzowi że: »Nie wiem — jaki był Andrusikiewicz wprzód, ale teraz ręczę za niego, że jest człowiek spokojny, i pewnie do niczego nie należy; Kulczycki tylko oponował, reszta milczała, o czem mi potem sami strażnicy temu obecni — mówili.

Miałem przeszło 50 korcy owsa na sprzedaj, a że się powstanie zbliżało, więc nie mogłem tego trzymać w domu, bo nie miałem nikogo, na kogobym się był



mógł spuścić — by dopilnował: zaczęm pisałem do ojca, czyby mi tam owsa komu nie sprzedał.

Dnia 9. lutego przybył wozem ojciec sam z matką, ks. bratem i siostrą do mnie. Zmartwili się — żem miał taką wizytę. Umówiliśmy się co do owsa, który miałem z nim posłać.

Chcieli rodzice na czwarty dzień odjechać do Krościenka — do brata, ale że byli wozem, a u nas już śniegi, więc posłałem po brata, który z żoną przyjechał. Brat odjechał, — ale rodzice nie mogli, bo śnieg coraz większy padał, a od czwartku, t. j. 12. lutego — taka powstała kurniawa, — która do niedzieli trwała, — że z domu do domu przejść nie można było. —

W niedzielę, 15. lutego wyjaśniło się, ale w poniedziałek znowu zwołna zaczęła być zawierucha, na którą rodzice już nie zważali, ale koniecznie wyjechali i gdym ich pożegnał za wsią, to o dziesięć kroków nic ich nie widziałem przed śnieżną zawieruchą.

W wieczór przybył ks. Kmietowicz do mnie; rozmawialiśmy o nastąpić mającem powstaniu. Zdziwiło mię niepomału, że on wprzód mówił zawsze za powstaniem, a dzisiaj właśnie mówił przeciw powstaniu, nazywając je nierozsądnem, niepodobnem udania się. Zdaje mi się dotąd, że z tą mową przyszedł nawet umyślnie. Pogniewałem się dlatego na niego i mało co na tom mu odpowiedział i aż do soboty z nim o tem nie mówiłem.

We wtorek — 17. lutego odesłałem saniami owies,



który najętymi wozami w piątek wieczór do Gdowa dostawili, bo śniegu — drogą od Myślenic ku Gdowu nie było. —

Tymczasem zawierucha u nas ustała. — Przyjechała 19. konskrypcya, przy której — jak zawsze — miejsce proboszcza zastępowałem i gdzie, jak mogłem chłopom — pomagałem. —

29-go popołudniu otrzymał porucznik *) list zapraszający go na bal do Zakopanego, — a były to zapusty, i powiedział, że jutro, 21-go nie będzie konskrybował, tylko dzisiaj tę wieś skończy — cośmy zaczęli. —

Gdyśmy jeszcze konskrybowali, ale się już wieczór robić zaczął, przyszedł niezwyczajnie ks. Kmietowicz; mówię niezwyczajnie, bo nie lubił się wdawać i widywać z takimi jegomościami, a tembardziej z wojskowym, jak i z łajdakiem czujnosem mandataryuszem Pszoną, który był »von draussen«, a tu ze skrobifajki — urzędnikiem został. — Domyśliłem się z przyjścia ks. Kmietowicza — że z czemś niezwyczajnem przyszedł, i co rzeczywiście tak było. — Po przywitaniu się z tymi jegomościami przyszedł ku mnie i powiedział mi: że ma list od ks. Michała tj. Głowackiego — z Poronina wiskarego, — abym do niego po skończonej konskrypcyi

*) Nazywał się Siebert (zobacz list z więzienia do brata Wojciecha).



przyszedł. — Ks. Kmiotowicz żegnając się — zaprosił do siebie oficera i Pszonę mandatarą. —

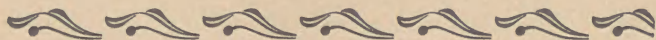
Skończyliśmy konskrypcyę ze zmrokiem; ci dwaj poszli do Kmiotowicza, a ja do domu. Niedługo przyszedł ks. Kmiotowicz do mnie i przyniósł mi kartkę, w której o ile pamiętam stało: »Matusiel!« — (Imię, które ks. Kmiotowiczowi klerycy w seminarjum dali byli). »Byłem w Sączu i przywiozłem wam pudełko od siostry waszej z klasztoru; byłbym wam sam to przywiózł, alem strudzony z drogi. — Jana proszę, ażeby mi kancyonał i nuty odesłał zaraz tym posłańcem, — o czem go proszę przekonać. Był u mnie ksiądz Makuch, ale już odjechał. — Oczekuję. —

Ks. Świętopełk.

Świętopełk — po słowiańsku znaczy: — Michał, które imię miał ks. Głowacki. — Zamiłował on całą namiętnością literaturę słowiańską, umiał prawie wszystkie narzecza słowiańskie i pisał niemi. Wiem, że miał manuskrypta swoje w tym języku, które ktoś skradł, bo wiem z pewnością, — że się familii nie dostały. —

Na tem kończy się niniejszy pamiętnik spisany przez Jana Kantego Andrusikiewicza organistę w Chochołowie, a dochowany szczęśliwie aż po te czasy przez jego przyjaciela p. Antoniego Skąpskiego. —

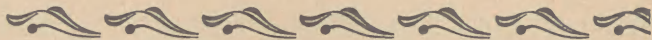
Pisany niewątpliwie — wkrótce po powrocie z Grajgóry, urywa się niestety w najciekawszem miejscu. —



Dalszym niejako ciągiem i uzupełnieniem tegoż jest drugi jeszcze, przechowany w zbiorach Muzeum narodowego w Rapperswyłu, spisany ołówkiem w więzieniu przez znanego powieściopisarza Zygmunta Kaczkowskiego z ustnego podania Jana Kantego Andrusikiewicza, tudzież listy tego ostatniego — pisane z więzienia do rodziny, jak niemniej opis tych wszystkich wypadków skreślony przez jednego z górali chochołowskich, które tu w dosłownem brzmieniu zamieszczamy. —

Biblioteka Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie posiada rękopis (2932), który jest dosłownym odpisem pamiętnika Andrusikiewicza spisanego przez Zygmunta Kaczkowskiego. Różni się tylko tem od pierwotnego, który się znajduje w zbiorach Rapperswyłskich, że w wielu miejscach posiada myłki w nazwiskach osób i miejsc.

CZEŚĆ DRUGA



II.

Pamiętnik Andrusikiewicza Jana Organisty, spisany ołówkiem w więzieniu przez Zygmunta Kaczkowskiego.

. . . Wybuch powstania w Chochołowie tak się zaczął i odbył:

W sobotę, tj. 21. lutego 1846 jadąc ksiądz Kmietowicz wikary chochołowski z organistą Andrusikiewiczem z Poronina od księdza Głowackiego przez Witów (wieś do Chochołowskiej fary należąca) mówili znajomemu gospodarzowi, iżby z kilku chłopami przyszedł wnet do Chochołowa i że coś ważnego ma im się powiedzieć. — Przyjechawszy do domu, organista kazał zwołać kilkunastu do siebie, gdzie im razem z ks. Kmietowiczem przedstawili o co rzecz idzie, a gdy im powiedzieli, że to w całej Polskiej ziemi dziś powstają, niedługo się namyślali.

Z dziesięcią pikami, które oddawna były w kościele, poszli więc do pomieszkania strzelców granicznych (Finanz-wache) w liczbie 8, które prawie w środku wsi było, a że Andrusikiewicz bywał czasem u nich, nie dziwiło ich, że przyszedł i teraz wieczorem. — Po zwykłym powitaniu w krótkości im powiedział, że powsta-



nie w całej Polsce. — W tem chłopi wpadają i na skienie Andrusikiewicza i ks. Kmietowicza zabierają karabiny, nie uczyniwszy najmniejszej krzywdy żadnemu ze strzelców, zapewnili ich bowiem, że to nie mordy, ale uczciwe, porządne powstanie, a widząc księdza w komży i stule, z krzyżem w ręku, — uwierzyli, a więcej jeszcze dla tego, że chłopi byli w izbie i pod oknami, więc nie brali się do odporu. — Zostawiono ich rozbrojonych pod strażą; jednego tylko — co sobie zuchwale poczynał — powiązano powrozem, a jeden poszedł z nimi. — Stąd poszli na cło pograniczne w Suchej-Górze, już na Orawie, małe pół mili od Chochołowa. —

Lebiocki strażnik finansowy stał w służbie za Chochołowem na drodze do Suchej-Góry. Powstańcy biorą go ze sobą, ksiądz z organistą opowiadają mu o co idzie, — on przystaje. Organista mu zawierzył, bo się często uskarżał na prześladowania od swych przełożonych. Idąc, po drodze obszerniej mu wyjaśnił rzecz (ksiądz i organista jechali), a on z całą duszą przystał. — Przybywszy na trzycatek (komorę) Lebiocki puka do okna i powiada na zapytanie poborcy cła, że z Romanii od komisarza, (a kilku chłopów poszło do wójta i kilku gospodarzy z gromady Suchogórskiej). — Poborca wpuszcza, ksiądz i organista wchodzą na czele chłopów; ten przestraszony nie wie — co to ma znaczyć, — chce pytać przyczyny, — organista wziąwszy go za obie rę-



ce — rzekł mu: »Nie bój się pan niczego, powstanie w Polsce dzisiaj«. Ksiądz mu tłumaczy i żądali pieniędzy cłowych, jakoteż i rejestra. — W tem przychodzą chłopi suchogórscy z wójtem, (liczby chłopów z pewnością nie wiedzieć, ale zawsze z kilkudziesięcią). — Poborca powiada: Dobrze, tylko proszę o zakwitowanie. — Przerachowano pieniądze w obecności poborcy (Laska z nazwiska) i chłopów suchogórskich, oddano im 150 fl. c. m. opłaty węgierskiej, aby to zachowali i o tem do stolicy orawskiej znać dali, a 600 fl. c. m. wzięli, co było z cła galicyjskiego. — Nie zaniedbano zrobić naszym chłopom uwagi, — jaka różnica, o ile więcej my opłacać musimy. — Kwit na to natychmiast napisał Ks. Kmietowicz w te słowa: »Na rozkaz Naczelnika powstania w obwodzie sandeckim zabierają niżej podpisani te pieniądze do skarbu — na potrzeby Ojczyzny Polski«. (Podpis) Kmietowicz, — Andrusikiewicz — powstańcy, data. — Orzeł dwugłowy potrzaskany na komorze. — Odbywszy się tu, — wrócili do Chochołowa i natychmiast poszli i pojechali do Witowa, (skąd także chłopów kilku już było na cle) — do koszar strzelców pogranicznych na górnym końcu wsi Witowa tuż przy leśniczówce (mieszkanie leśniczego), gdzie strzelców także po 8, — jak w Chochołowie.

Tu Lebiocki tak samo, jak na cle, otworzył drzwi bez hałasu: wpadłszy — zastał strzelców w łózkach,

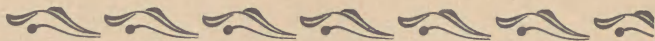


którzy przestraszeni na widok księdza w komży i z krzyżem w ręku i chłopów, — nie wiedzą, co robić. — Gdy organista mówi do nich o co idzie, chłopci zdejmują z kołków karabiny i zabierają pałasze. — Tu z nimi nikt nie poszedł, tylko powiedział jeden do organisty, — że gdyby tak wszędzie było powstanie, to oni się łączą. —

Zostawiono ich bezbronnych, a powstańcy poszli do nadleśniczego w sąsiedztwie koszar, a od Chochołowa $\frac{3}{4}$ mili. — Tu wszedł tylko ksiądz z organistą; chłopom nie dali wchodzić, — bo się bali, by się który nie chwycił do nadleśniczego, na którego złość mieli z powodu lasowych ździerstw, a że sobie z organistą byli kmotrami, pięknie wyłożywszy mu powód powstania organista zabrał strzelby i formę do lania kul, zapewniwszy go, że mu to będzie zapłacone, tylko że teraz potrzebujemy. (Nadleśniczy rodem z Morawy, z nazwiska Sochor).

Gdy to w Witowie się dzieje, góral jeden z rozkazu organisty wpada do leśniczego w Kościeliskach — ($\frac{1}{2}$ mili od leśniczowski w Witowie — w górę pod Tatry) i powiada: »Panie! — wojna; strzelby trzeba dać!« — Ten zdziwiony patrzy — czy góral oszalały, a góral zdjął z kołka podobno 3 strzelby i poszedł z Bogiem; drugi góral stał pod oknem. —

Odpczawszy u nadleśniczego, — powrócili do domu, a Witowianie zostali w swoich chałupach, jednakże



im rozkazano: »jutro do kościoła — kto żywy!« — Tak się odbyło rozbrojenie, wszędzie jak najgrzeczniej, bez hałasu, bez pokrzywdzenia pojedynczych osób.

Przybywszy do domu, organista z wziętych na cle pogranicznym pieniędzy — wypłacił dziennie po pół dwadecznika (t. j. po 10 kr. m. c.) chłopom; na następny dzień [22] dał parę reńskich — aby przynieśli wina (bo gorzałki nie pili) i pokrzepili się trochę, co uczyniwszy rozeszli się z nakazem, aby byli gotowymi. — Wkrótce świtało. —

Organista spocząwszy trochę, nad świtaniem (ksiądz więcej spoczywał, bo powróciwszy z Witowa poszedł zaraz spać) idzie rano do proboszcza i mówi: »Księżę proboszczu! — powstanie«. — »Co pan mówisz?« — odrzekł tenże. — »Tak jest. Strażnicy rozbrojeni, na komorze pieniądze wzięte«. — »A kiedy?« — pyta pleban. — »Wczoraj wieczór« — odrzekł Andrusikiewicz, — »ale (mówi dalej) nie radziłbym księdzu proboszczowi sprzeciwiać się temu, bo za siebie nie ręczę i mogłyby wypaść złe skutki dla jego osoby«. —

Okolo godziny 10. z rana w niedzielę (22.) jechał żyd z Czorsztyna; pyta się go organista: »Skąd jedzie? co słyhać?« — Żyd na to: »Wszędzie cicho, spokojnie, tylko na dole chłopci mordują i rabują« — (w Tarnowskim i Bocheńskim). — Zwiątlał na sercu na taką wieść organista, nic nie mówi, —



aby jemu nie osłabić ducha. — Jednakże cofnąć nie można — co już ruszyło; trza dalej. —

Oslabiony znużeniem, niewyspaniem, radością upojony, zdał się organista księdzu upitym, co mu za złe bierze; ale na tem się tylko skończyło, że organista mu powiedział, — że się myli. —

Przekupnie soli i podrostki z wolnym tytoniem i z tańszą solą z Orawy przyniesioną (po 2 kr. m. c. funt) spieszą na rynek, aby po skończonem nabożeństwie sprzedać. — Nabożeństwo odprawił ks. Kmietowicz najuroczyściej — z wystawieniem świętości; nieszpór zaraz po sumie; poświęcił broń odebraną, a mowę — którą miał — tak lud rozrzewnił, że płakał jak bobry; przedstawił o co chodzi, zachęcił, błagał pomocy i błogosławieństwa Niebios, nareszcie zalecał, aby każdy miał ze dwa moskale (placki owsiane w torbie, kierpce nowe; na przypadek zdarcia onychże łąty i dratwy, — dobre cuchy, (gunie) i serdak (na kształt kamizelki z baraniej skóry) pod cuchą, bo się w dalszą drogę trza będzie wybrać, t. j. ku Wadowicom. —

Po skończonem nabożeństwie zaczęli chłopci w Chochołowie kosa klepać, a kowal piętki w tychże prostować. — Z innych wsi jakoto z Witowa, z Cichego i z Dzianisza pobiegła dziatwa do domu to samo robić co i w Chochołowie t. j. wybierać się na wojnę; ale nie wszyscy mogli się zgromadzić tak łatwo, jak Chochołowianie, bo dalej, drudzy trochę bliżej mieli do



domu; byli tacy, co milę drogi po nabożeństwie (około 2-giej godziny po południu) musieli przebyć, na placek kobieta w piecu zapalić, upiec go musiała, przystroić się w dobre obuwie (kierpce) i odzienie (cucha) musieli; — zatem nie mogli zaraz z wieczora stanąć w Chochołowie, przy tem — że wielkie śniegi upadły. — Gotowi Chochołowianie i bliżsi Chochołowa już przed wieczorem byli.

Zgromadzili się w domu naprzeciw wikaryówki i czekali więcej towarzyszków. — Ksiądz i organista nie zaniedbali im wyluszczyć obszerniej. — Pierwszy, — czy że go jakaś mała bojaźliwość opanowała, czy też innemi słusznymi przyczynami powodowany, — do zgromadzonych Podhalan w liczbie do 300 — ze trzy, — czy cztery razy powtarzał, — że on nie przymusza, każdy dobrowolnie niech idzie (zapewne sumienie lękliwe, aby mu nie wyrzucało, — że był powodem klęsk, które może przeczuwał, tak mu postąpić kazało).

Organista radził pochód ku Czarnemu Dunajcowi (1 milę). — Żony mężów, — matki — synów, siostry — braci żegnały i błogosławiły (szczęściły). — Pewna żona, żegnając męża, — o którym Andrusikiewicz powiedział: »Byłby to drugi Bartosz«, — całowała go po rękach mówiąc: »Idź mój Wojtasku, — a trzymaj się do brzel« — Gdy stanęło na tem, aby przed świtem ruszyć, — ci, którzy mieli bliżej do domu porozchodzili się jeszcze do swoich, a Kmietowicz poszedł się położyć, jako też i organista, postawiwszy



czaty na końcu wsi. — W miejscu zgromadzenia było kilkudziesiąt (może 60 do 70) ludzi.

Lecz wkrótce dał się słyszeć krzyk i uderzono w dzwony. —

Dowiedziawszy się o wczorajszych wypadkach w Chochołowie, Suchej Górze i Witowie nadkomisarz finansowy Molitoris w Nowym Targu (3 mile od Chochołowa) pozbiarał strzelców ze Załucznego, Czarnego Dunajca i Podczerwiennego, a Kulczycki mandataryusz w Czarnym Dunajcu wpadłszy do kościoła (przed — czy podczas nabożeństwa? — lecz ludzi pełno było) zawołał głosem donośnym: — »Urlopnicy! wychodźcie z kościoła, bo Chochołowianie idą na Dunajec rabować, palić,... już i komorę w Suchej Górze zrabowali, a ksiądz i organista na czele«. — Przestrach pomiędzy lud się wcisnął. — Tak więc nadkomisarz Molitoris posłał komisarza Fiutowskiego na czele przeszło 20 strzelców, a Kulczycki na czele kupy Czarnodunajczan, Podczerwieńczan i urlopników, którzy wieczora umyślnie czekali, aby Chochołowian (jak sądzili) na śpiączce zastać.

Kiedy nadciągnęli do Chochołowa, czaty dają znać, oni tuż za czatami, bo noc była ciemna, choć oko wykol. — Na powstały krzyk — wybiega ks. Kmietowicz, który jeszcze nie spał — w koszuli tylko płaszcz zarzucawszy na siebie; idzie naprzód, organista biegnie do chłopów, którzy już wyszli byli z domu, — bo nie spali,



szykuje ich i prowadzi. — Kmiotowicza pytają: »Kto tam?«... — »Ja, ksiądz«. — »Pał do niego!«... On się trochę zwrócił, a strzał wpadł mu do prawej ręki, niżej ramienia i kawałki sukna z płaszcza wcisnął z sobą do ciała. — Gdyby się był nie zwrócił, byłby w piersi dostał; chyła się po pistolet, bo mu z ręki był wypadł, drugi strzał kaleczy mu palce; a tak musiał wszystkiego zaniechać i pójść do najbliższej chałupy, gdzie mu zawiązano ranę; trzeci strzał, wymierzony na niego — trafił woźnicę, który był przyjechał z komisarzem Fiutowskim. —

Gdy się to dzieje, przychodzi organista ze swoimi i spotykają się przy organistówce, o 6 może kroków od (nieczytelne), idą na bagnety i kosy, dowodzi Andrusi-kiewicz; z dwururką na plecach, a pałaszem w rękę idzie na Fiutowskiego; ścierają się tak mocno, że za trzema lub czterema cięciami padają obaj na ziemię; strzelcy to zobaczywszy — w nogi, a Czarno-Dunajczanie jeszcze pierwej. — Byli między nimi dobrzy ludzie, i w ostatku Kulczyckiemu nie we wszystkim wierzyli, — wyjąwszy kilku. —

Oczyściwszy plac boju, zaczęli się Chochołowanie mścić na poległych, a gdy ich dusili, organista ocknięty uderzeniami — woła: »Stójcie! — bo to ja!«... — A wnet krzyki: »Nie bij, — bo to organista« — dały się słyszeć. —

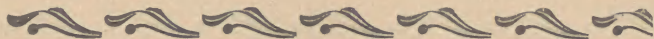
Pewien — gdy siedział na komisarzu, kulka — za



poruszeniem przypadkiem cyngla u strzelby — przeszła mu kolano; na drugi dzień umarł. I drugi z naszych padł, mało żywy i wkrótce skończył, a z ich strony także poległ strażnik od chochołowskiej kulki, a ze dwóch naszych po łydkach śrutami dostało; zdaje się — że mało było kulami nabitych nieprzyjacielskich karabinów i z naszych może parę. —

Przyszedłszy do siebie organista, kazał przynieść latarnie, komisarza zanieść do swego pomieszkania, trupów sprzątać, rannych zaopatrzyć. —

Fiutowski miał głębszą ranę jedną; — organista jedną płytszą niż tamten, drugą mało znaczącą, obadwa od pałaszów, oba w głowę ranni; prócz tego organista bagnetem pchnięty — gdy już leżał na ziemi — w brzuch, ale tak szczęśliwie, że bagnet trafiwszy na ramię od pałasza, szeroki na cal, — zatrzymał się na nim i tylko skórę na brzuchu przebił, nie naruszywszy kiszek, coby się było nieomylnie stało, gdyby nie był dosyć dobrej tuszy. — Mając jeńca u siebie, obszedł się jak z przyjacielem i rodakiem, w którym jeszcze nie doczysta widział wygasłą miłość Ojczyzny; jak ludzkość kazała opatrzyć i kazał obwiązać mu rany, ustąpił mu łóżka; sam — więcej ran odniósłszy na ławie się kładzie. Ażeby się nie podać w podejrzenie u górali — przyrzekł im nie mówić po niemiecku, tylko po naszymu, dla czego i straż u siebie zostawił; a gdy się komisarz coś był po niemiecku odezwał, chciał go na straży będący góral bić,



lecz organista poskoczył, chwycił pod gardło i odtrącił go rzekłszy: »Bić się — na wojnie, ale nie — rannego na pościeli«. —

Rano w poniedziałek (23. lutego) Chochołowianie z organistą i księdzem radzą — co robić? — widzą — że ci ranni, radzą nad ich ucieczką do Węgier (do Orawy), ale jeden i drugi, osłabiony zbytym wylewem krwi — iśćby nie mogli. — Jadąc drogą, lada gdzie by ich zatrzymano; przesmyknąć się lasami w żaden sposób nie można, bo śniegi w pas. — Z rozkazu organisty biegnie młody, szybkonogi góral na wierzch Cerchlicy, czy nie widać co od Czarnego Dunajca. — Niedługa chwilka, a on już z powrotem; powiada, że moc chłopstwa ku Chochołowu ciągnie. Chłopi biorą organistę na włóki (sanie) i uwożą do wsi Cichego — w góry. — Chcą i z Kmietowiczem to zrobić, lecz on nie chce. Zostaje u proboszcza na łożu — mało żywy, radząc do poddania się. —

Przybywszy na czele strażników, — co wczora z Chochołowa uciekli — nadkomisarz Molitoris, — a na czele mnóstwa — prócz wczorajszych — jeszcze ze wsi Wróblówki, Koniówki chłopów, Kulczycki pod Chochołów, wołając i pokazując zatlone, dymiące się kłaki, — grożą: że wieś spalą, — jeżeli się nie poddadzą. —

Stary Chochołowiak nazwany Piasiek — przypina na żerdkę białą płachtę i idzie naprzód. —

Strażnicy, a za nimi urlopnicy z chłopami przyby-

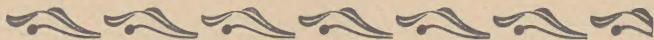


łymi bieżną wprost na plebanię, wikaryówkę i organi-
stówkę, tłuką okna i zabierają, co znajdują; plebanowi
spiżarnię — choć małą — złupili, okna potrzaskali; jeden
ze strażników chce na łóżku leżącego Kmiotowicza ba-
gnetem przebić; wtem przyskakuje nadstrażnik, odpycha
go, — mówiąc: »Widzisz, że już mało żywy?!« —

Wzięto więc Kmiotowicza krwią zbroczonego, w su-
tannie tylko księżej i płaszczu i przywieziono go na
Czarny Dunajec, skuto go w okowy 10 funtowe; nie
darowali też kilku chłopom chochołowskiem, zbito i po-
wiązano wielu, zrabowano kilka chałup; Lebiockiego
strażnika w pokładanego bili nabożczykami (ladsztokami)
tak, że mało go nie zabili. — Lud płakał, widząc wika-
rego rannego i tak haniebnie pojmanego. —

Poszli za organistą do wsi Cichego i z daleka wo-
łali — by go Cichowianie wydali, jeśli nie chcą widzieć
domów swoich w płomieniach. — Donoszą to Cicho-
wianie organiście i mówią, że oniby jeszcze potrafili
ich odeprzeć, ale widząc organista i oni — że toby było
nadaremno, zapłakali nad nim, zaprzęgli konie i odwieźli
do Chochołowa. —

Tu — do leżącego na saniach przybył poborca cła
z Suchej-Góry Laska, leżącego policzkował, na co ten
mu powiedział: »Czym i ja się tak z panem obszedł?«...
— Nic nie powiedziawszy — poborca zawstydzony od-
szedł. — Zawieziony potem do Czarnego Dunajca, gdzie
niektórzy miejscowi naigrywając się z księdza i orga-



nisty — Chochołowian bili i kaleczyli; jednemu głowę kołem żelaznym rozbito, drugiemu czaszkę widłami od siana przebito; ostatni był przysiężnym w Chochołowie. —

Stąd zawiezieni do Nowego Targu z kilkudziesięciu góralami, a dużo zostało w w więzieniu Czarnodunajkiem. W Nowym Targu opatrzył lekarz Andrusikiewiczowi rany na głowie, poczem mu się ulżyło. — Nabito na niego okowy 6 funtowe, a gdy posłyszano, że jacyś ludzie zbliżają się ku Nowemu Targowi (była to czereda rabusiów) nadkomisarz sądząc, — że to powstańcy, kazał powiązać wszystkim ręce w tył i nogi popod kolana, a od Andrusikiewicza żądał słowa honoru — że się spokojnie zachowa, co on też uczynił. — Tu kilka dni siedzieli, gdzie śledztwo z nim przedsięwzięto. —

Wezwano też pisemnie księdza Głowackiego z Poronina, by się stawił do Nowego Targu, co uczyniłszy — okuty zaraz i razem z Chochołowianami 6 marca 1846 do Nowego Sącza odstawiony został. — Jadąc, mogli wyczytać po drodze współczucie i litość u ludu — gdzie przejeżdżali; i tak — w Maniowach, gdy stanęli na popas, ludzie w płacz, ale oficer prowadzący kazał natychmiast za wieś ruszyć i tam popas skończyli. — W Sączu — ksiądz Kmietowicz trącony przez nielitościwego dozorcę Piskozuba — wpadł po schodach do piwnicy, gdzie wszyscy przez 7 tygodni byli trzymani i dwaj górale nogi odmrozili. —



Przyczyny powstania.

Nie jedną-by można przytoczyć i nie z ostatnich czasów; oddawna i różne okoliczności miały wpływ na to, — z których celniejsze przytoczyć nie zawadzi. Państwo Czarny Dunajec, którego Chochółów z wyż wzmiankowanemi wsiami większą część stanowi, należało jak inne w tamtych okolicach do kamery; potem je kupił Pajączkowski. Ten widząc dobry byt jego mieszkańców, radził im by się wykupili; i.. złożyli coś pieniędzy; potem przeszło pod Szczyrkowskiego, nareszcie przyszedł w posiadanie tegoż nieprawemi drogami baron Borowski. — Ten zaszczepił nieobyčajność, prześladował uczciwych, co się upominali o swoje, prawując i procesując się prawie przez lat dwadzieścia, — nie mogli przyjść do posiadania tych wolności, — które okupili; prześladował ojców, którzy mieli urodziwe córki, gdy je kryli przed jego sprośnemi żądzami: w roku 1834 lub 35 kazał strzelać do ludzi, co nie chcieli dać sobie bydła zabrać, a robił te nadużycia bezkarnie, rządowi zawsze przedstawiał, że to lud dziki. — Takie postępowanie zniechęciło ich srodze, a choć w roku 1843 państwo to przeszło pod opiekę księdza Wilczka, który nie takim pokazał się później jak z początku, tem więcej nie byli zadowoleni. —



Łatwo więc można ich było poruszyć księdzu Kmietowiczowi, który tam dwa lata był i dał się im poznać ze strony najlepszej i Andrusikiewiczowi, który tam 12 lat będąc, nie mało dobrego dla nich zrobił, znał ludzi — którym zaufać można i nie omylił się — komu powierzyć tajemnicę; ale przepomnieć nie należy, że ani sam Andrusikiewicz, ani sam Kmietowicz nie byliby tego zrobili, co wspólnie obaj dokazali, każdy ze swego stanowiska. Kmietowiczowi lud uwierzył — z kazalnicy mówiącemu; chłopci poszli za swoim dawnym w przygodach i procesach doradcą, a młodź była za swoim dawnym profesorem. — Wzywał ksiądz Janiczak ze Szaflar w Białym Dunajcu chłopów, ale nie poszli za nim, bo nie tym sposobem ująć ich sobie umiał, jak Kmietowicz i Andrusikiewicz. — Przemówił był coś i ksiądz Głowacki do ludzi w Poroninie, ale czekał na część Chochołowianów, — bo sam był. —

Przed Andrusikiewiczem jeszcze był tam (w Chochołowie) proboszcz Bańkowski i organista Białoński, którzy nad szkółką pilnie pracowali tak, — że dwie części w parafii Chochołowskiej z młodszych umieją czytać; przez co myśl się ich rozwinęła lepiej — niż gdzieindziej. —

Kraży pomiędzy Podhalanami powiastka o królu Bolesławie, co świętego Stanisława porąbał, że śpi zaklęty z wojskiem w jamie — niewiadomo której, i że to wojsko wtedy wyruszy, jak go Polska



potrzebować będzie. [Ta sama powiastka jest pod Babią Górą — iż w Babiej Górze leży to wojsko]. Nie zaniedbano tedy powiedzieć Podhalanom, że owem wojskiem nie kto inny — tylko oni sami. I to — nie mała pobudka. [Podhale — znaczy Tatry — w wysłowniu tamtejszem].

Wiara przepowiedni dawnych przodków, którzy często byli mawiali: że nie będzie dobrze na świecie, — póki się czerniawa nie ruszy, i że się kiedyś tak stać musi. [»czerniawa«, pospolite ruszenie ludu]. Starzy mawiali: »hajno! hajno! nie będzie dobrze, — póki nie będzie pod Krakowem straszna wojna«, [teraz to rzadko słyhać, tylko — że starzy powtarzali], — zdaje się, — że i to musiało się przyczynić do poruszenia. —

Górale nie siedzą doma, jeżdżą oni tam i sam, słyszeli więc mowę, jaka była przed poruszeniem; wieściom fałszywym nie chciało im się wierzyć, bo się im to przecież nie zdawało, aby panowie mieli ludzi zarzynać. — Trafił który z nich na człowieka, któremu uwierzył i prawdę usłyszał góral, która to prawda zupełnie się zgadzała z tem, co ksiądz i organista przed wybuchem do nich mówili, widzieli więc, — że ich nie zwodzą; słyszeli wreszcie o poruszeniach Tarnowskich i Bocheńskich — choć nie we własnym kierunku, jednakowoż tego nie wiedząc — nie ociągali się powstać. —

Jakie jest piękno duszy tych górali — pokazało się



najlepiej po klęsce poniesionej, biciu, kaleczeniu, jako i więzieniu, kiedy mówili sobie: »Oj, jakoś to Bóg dał, że niebardzo bolało«. Ów, któremu kula przy organistówce kolano przeszła te same słowa, gdy się go pytano — czy boli i cierpi — spokojnie odpowiedział: »Nie bardzo boli«. — Gdy się Kmietowicz dowiadywał — czy go nie przeklinają? ci, gdy się ich pytano — czy się nie gniewają na niego — że takiego cierpienia stał się przyczyną? — odpowiedzieli: »Cóżby my się mieli gniewać?... on tego z palca nie wyssał, on chciał dobrze, tak miało być, Bóg lepiej wie — co robi«. — Gdy we więzieniu sandeckiem jeden młody, niedoświadczony, był kłął na... »taką robotę« — reszta, co z nim siedzieli, — swoi, dali mu w pokładankę kilka plag dla nauki, żeby raczej lepiej Boga prosił, aby dopomógł przecierpieć, że nie on sam siedzi, a różni tu siedzą. — Głód okropny cierpiąc w więzieniu prosili Boga, aby też jeszcze im pozwolił raz sobie podjąć i fajki pokurzyć przed śmiercią. — (poszła pogłoska — że będą wieszani) — Oto obraz podhalańskiej duszy. —

Po poddaniu się, w Chochołowie — rozszerzają się wieści, że już w Nowym Targu słupy stawiają na trącenie więzionych; — trwoga nadzwyczajna, którą tylko myśl na wszechwładnego Boga łagodziła, — później ustawicznie w kościele, — w dzień niedzielny modły do Najwyższego za swymi, księdzem i organistą zasyłali. —



Za orła musieli zapłacić 20 fl. con. mon. i za przewodnictwem księży Jezuitów z procesją zanieść na cło Suchogórskie, gdzie ksiądz Jezuita miał mowę taką: (słowa pewnego górala) »...jak gdybyśmy największymi zbrojcami byli«... — W tej chwili, żeby się była ziemia rozstała, chętnieby był niejeden skoczył w grób. — Odwiedzały często żony mężów, kochanki narzeczonych, siostry braci; a z daleka patrząc na okowy i łańcuszki, którymi byli pokuci mili ich sercu, — łzami się oblewały. — (Było to nieraz podczas przechadzki na dziedzińcu). —

Te wiadomości są prawdziwe, gdyż ich źródła są: Andrusikiewicz, Kmietowicz, górale ci sami, o których mowa i kilka świadectw osób różnych, jednakowo rzecz potwierdzających, wreszcie sam pisarz, który był prawie naocznym świadkiem. —

Biografie Andrusikiewicza, Kmietowicza i Głowackiego które następują, są bardzo lubo i czule skreślone.

Życiorys organisty.

Jan Andrusikiewicz urodzony w Gdowie obwodu bocheńskiego*). Rodzice jego są jeszcze przy

*) Według metryki urodził się Jan Kanty Andrusikiewicz dnia 9-go października 1815 r. w Stopnicach królewskich obok Limanowy. —



życiu. — Ojciec był do ostatniej chwili w Gdowie organistą *). Brat jego młodszy Wojciech organistą w Krościenku, najmłodszy księdzem, **) a siostra jego za organistą w Dobczycach ***). — Skończył on klasy niemieckie i najniższą łacińską w Bochni; uczył się organistostwa u ojca, potem był w Staniątkach, stamtąd w Rychwałdzie w obwodzie wadowickim organistą, ożenił się mając lat 19 z Józefą Homelską, — organiścią w Makowie. Przybył do Chochołowa w roku 1834; tam młodych lat nie zmarnował, lecz pilnując kościoła i szkółki, które już w dobrym porządku zastał, resztę czasu obracał na wydoskonalenie umysłu i serc ludzkich, ze swoich lichych dochodów utrzymując żonę i dzieci czworo,

*) Ojciec jego Wojciech Andrusikiewicz rodem z Krużłowy, urodzony 15. kwietnia 1782 był przez 36 lat organistą w Gdowie, umarł dnia 4 stycznia 1868 w Stryszowie — Matka: Katarzyna z Burdelskich, druga żona Wojciecha rodem z Rzegociny, urodzona 25 października 1794, zmarła 6 marca 1856 w Stryszowie. Brat młodszy Wojciech nauczyciel i organista w Krościenku, urodz. w r 1818, zmarł 17 września 1880.

**) Drugi brat Ludwik — naówczas wikary w Bestwinie, długoletni proboszcz jubilat i dziekan suski ur. w r 1819 w Gdowie, zmarł dnia 29 grudnia 1898 w Stryszowie. Rodzice i obaj bracia Wojciech i Ludwik pochowani w Kaplicy na cmentarzu w Stryszowie przy Kalwaryi Zebrzydowskiej.

***) Najmłodsza siostra Karolina wydana za Wojciecha Paszkowskiego nauczyciela trywialnego w Dobczycach — żyje dotąd przy córce w Gaju —



z których dwoje umarło w niemowlęctwie; skupywał — jak mógł choć stare książczęta, których miał przeszło 700 tomików, a których się mało po jego uwięzieniu zostało. Żonę utracił w roku 1844., która przez dwa lata w suchotach nikła; zostawił dwóch synków: Teofila (Bogumiła) i Romana u dziadka w Gdowie. — Jak się z parafianami obchodził — dowodzi 21. lutego 1846 r.; jak obowiązkowi pilnował — dowodzi kilka pochwał, akt urzędowych od właściwych przełożonych (konsystorza i dziekana) — Prześladowany od niby-dziedzica B o r o w s k i e g o i mandataryusza K u l c z y c k i e g o za to, że czasem chłopom przetłomaczył rezolucyę z wyższych urzędów, lub napisał jaką prośbę w sprawie ich prawowania się. — Od tych samych oskarżony przed rządem, — że był w powstaniu 1830 r., lecz udowodnionem mu to nie było. — Chciano go w rekruty oddać, lecz obronił go dekret na nauczyciela wiejskiego; — podany w podejrzenie względem politycznych mniemań, była parę razy u niego rewizya, a nawet poborca cłowy miał nakaz wielką mieć bacność na jego kroki. — Przed wybuchem wśród takich prześladowań 12 lat przebyć, — trzeba nie małej duszy. — Miał on nieraz zamiar przenieść się gdzieindziej, a byłby posadę dostał, bo znany był u wielu księży, ale nie chciał opuścić ludu, — który kochał i od którego był kochany, i okolic, które go nadzwyczaj zajmowały. Umiał on się znaleźć, gdzie trza było — jak mąż, lecz musiał, — gdzie inaczej nie



podług natury rzeźbioną
Franciszek Jępa
Dnia 10^{go} Marca
r. 1848.

Kmiotowicz

Ks. Kmiotowicz.



można było, — udać postawę wzgardzonego miechodmucha i mało cenionego bakałarza. Od tych — co go znali — szanowany i wysoko ceniony; tych, co go nieznali, wprowił przez ostatnie wypadki — w zadziwienie, co to może miechodmuch. — Gdy w Nowym Targu nie chciało mu słomy dać na posłanie, nadkomisarz Molitoris, jak przedtem go nienawidził, tak teraz, po uwięzieniu go — szanował, gdyż mu chętnie swój materac przysłać obiecał, (ale — nie przysłał, bo mu dano słomy). — W Sączu, — choć go dozorca Piskozub tak przywitał: »Rabusiul!« — targając go za podbródki (faworyty), przecież gdy widział później — że mu kameralny rządca przysłał do piwnicy święconego na Wielkanoc, butelkę wina i kocyk do przykrywania się. — i on miał przed nim uszanowanie. — Uniewinniał górali, całą winę na się biorąc, a nawet Kmiotowicza. — Jak na wolności, tak i w więzieniu zachował moc duszy, która cechuje ludzi niepospolitych. Do Berna! Teraz ma lat 33. —

Życiorys księdza Kmiotowicza.

Ksiądz Józef Leopold Kmiotowicz — urodzony w roku 1819 w Starym Sączu z ojca mieszcza-
nina; w ostatnich chwilach matka już mu nie żyła. Szkoły
niemieckie i łacińskie ukończył w Nowym Sączu, filo-
zofii 1-szy rok w Koszycach (na Węgrzech), drugi w Tar-



nowie. Jak sam się wyraził: »zdolności tylko przez dołożenie pilności później mu się rozwinęły«. — Teologię skończył w Tarnowie, tamże wyświęcony w roku 1843; na ostatnim roku teologii — będąc bardzo słabym, — opuszczony od lekarzów, — pojechał na żentycę, która skutkowała. — Wyświęcony, — dany był na współpracownika do Dobrej — w obwodzie sandeckim, gdzie będąc przez kilka miesięcy, przeniesiony został do Chochołowa, gdzie do chwili wybuchu przez dwa lata — tak sobie umiał zjednać miłość, szacunek i zaufanie parafian, — jak się okazało 21 lutego 1846 r. Poświęciwszy się z całej mocy duszy stanowi kapłańskiemu, służył Bogu, służył ludziom przez odwiedzania chorych urzędownie ze świętościami; odwiedzał on ich i mimo; wspierał (gdzie widział tego konieczną potrzebę) datkiem, gdzieindziej radą; obyczajności nie tylko wzorowym był przestrzegaczem, ale i zachowawcą. — W wypełnianiu obowiązków kapłańskich silnym, wytrwałym i cierpliwym. — W zaprowadzeniu towarzystwa wstrzeźliwości był całą duszą, a skutek uwieńczył jego pracę. — Sam słabowitej budowy ciała — pracował przy proboszczu więcej — niżby z obowiązku wikarego był powinien; był bowiem człkiem, — co znał — do czego ksiądz powołany, a na to nie dbał — że był wikarym, a tyle pracuje. — Z dochodów, — które dość szczupłe były — zapomagał ojca; za siostrę, na wychowaniu będącą w klasztorze staro-sądeckim płacił i biednych swo-



jej parafii nie opuszczał. — By na to wszystko wystarczyć, trzeba było bardzo oszczędnie żyć; to też i tak było. Sukni używał — aby nie chodzić obdarto, pokarmu — aby siły krzepić i utrzymać życie; tamte nie były kosztowne, ten — góralski. Zdaje się, — że najlepsza pochwała będzie górala, który w więzieniu sądeckim przez urzędnika pytany — dlaczego księdza słuchali, a osobliwie on, co jest przysiężnym? odpowiedział: »O paniel jakże nie było słuchać, kiedy ksiądz odziedni był«... — (przedziwnie dobry). I on uniewinnił górali, sam tylko do całej winy się przyznając. Krótko pracował, — a znać go było. —

Przebiegnijmy jego cierpienia po wybuchu powstania; postrzelony w rękę prawą, a gdyby się nie był odwrócił bokiem — byłby strzał piersi przeszył, — nosi jeszcze dotychczas śruty za skórą, które się zniżyły z poniżej ramienia ku łokciowi, drugi raz postrzelony w palce u rąk obydwu (na te niedługo cierpiał), tak raniony — w okowy ciężkie okuty, w Sączu w piwnicy przez 7 tygodni siedział, żadnej pomocy lekarskiej nie mając, — od strażnika, — gdy był na plebanii leżał, mało bagnetem nie przeszyty — już drugi raz śmierci uniknął, — a w piwnicy, w której od 70 lat nic nie było, — ranionemu, bez żadnej opieki lekarskiej — nie skończyć, lecz nawet wyleczyć się i zdrowym wyjść, gdzie inni nogi odmrażali, a skąd inni zdrowi zarody chorób i śmierci powynosili, trzeba albo nadzwyczajnie

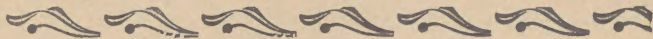


mocnej budowy ciała, albo wyznać szczególne działanie Opatrzności; pierwszego mu przyznać nie można, — bo był słabowitym, drugie — tylko z podziwieniem uwielbiać należy, tem bardziej, gdy się jeszcze nad dalszymi jego wypadkami zastanowimy. —

U Karmelitów we Lwowie [więzienny zakład] karmiony grubą kaszą i barszczem, [strawą jaką karmią wszystkich prostych złoczyńców] tak osłabł, że idąc na przechadzkę zataczał się. — Prezes pytał go, — czy mu smakuje, on pokazując na misce kaszę i chleb czarny — powiedział: »Dobra«!... Chciano, aby był prosił o lepszą strawę, lecz on powiedział: »Wiedzą oni, — co mi się należy«..., aż gdy widziano, że blizki całkowitego wyniszczenia sił żywotnych, dano mu trochę lepszą strawę, ale tak osłabiony, gdy i tego nie mógł jeść, radzono mu popijać dobrego wina. — »A za co?« — spytał się — »kiedy grosza nie mam« — bo i koszulę sam płukał w kaźni i w trzewikach na chwilę chodził. — Karmiono go chiną; — czyż nie uszedł i tu śmierci — aby był skazany na słupy? Lecz inaczej Opatrzność zrządziła, a gdy się dowiedział, że kara już — już ma być na nim wykonywana, czuł się tak zdrowym i mocnym, jak nigdy; nareszcie i tej uszedł; gdy mu oznajmiono darowanie onejże, nieszczęśliwy uciechą tą — był na twarzy do niepoznania zmieniony. Gdy jeszcze dodamy słabość w seminaryum, kiedy na żentycę wyjechał i słabość nagłą w kaźni Karmelitów, w miesiącu styczniu 1847



Ks. Głowacki.



roku, gdzie bliski był skonania, naliczymy 7 wypadków śmierci, a ze wszystkich wybrnął, wszystko to cierpliwie zniósł, mocną ufnością w Opatrzność uzbrojony. — Wikarzy! idźcie w ślady jego! godzien w poczet męczenników być policzony! —

Życiorys księdza Głowackiego.

Michał Głowacki [zwany jeszcze ze szkół Świętopełkiem, tak — jak Kmietowicz Matusem] urodził się w roku 1804 w parafii Janowickiej, w obwodzie Sandeckim, gdzie ojciec jego był mandataryuszem, — matka żyje po dziś dzień w Starym Sączu; brat Franciszek także krawcem, Feliks księdzem, Marcin w Irdii — przy kopalni cynobru, siostra jedna zakonnica, dwie zamężne w Starym Sączu. — W pierwszej łańciskiej klasie będąc w Tarnowie, przed surowością ojca uszedł 10-letni chłopak do Lwowa, do ciotki. Tu, gdy ojciec po niego przyszedł — ukrył się. Wynaleziony ledwo, wzięty do domu, szedł z ojcem piechotą, miał więc być obrócony do gospodarstwa i już 3 lata jako chłopak wiejski krzątał się koło roli, o ile siły jego zdążyły; w tem ojciec jego kupił kąsek ziemi w Starym Sączu (która dotychczas matkę żywi), przeprowadziwszy się na własność — prosił ojca, aby do szkoły w Nowym Sączu dalej chodził, na co ojciec zezwoliwszy, odwiedzał go co piątek, a gdy książki nieszkolne znajdował w jego ku-



ferku, — łajał. — Aby uniknąć tego, młody Świętopełk na każdy piątek suknie i bieliznę włożył do kuferka, a książki pochował, które po przeglądzie ojcowskim napowrót na dawne miejsca powracały. Już gimnazjalista — miał paręset książek; na filozofię poszedł do Lwowa, ale nie zdawszy pierwszego półrocza, poszedł do Koszyc (na Węgrzech) powtórzyć pierwszy rok filozofii; i od tego też czasu nie dawał mu ojciec żadnej zapomogi, bo sądził — że to nic-potem syn. — Skończywszy logikę w Koszycach, powrócił na fizykę do Lwowa; tu nie mając utrzymania, grywał czasem na scenie, kilka miesięcy na poddaszu nocował, a posłaniem jego była cegła, poduszka — pięść, a przykryciem licha surducina. — Żywił się suchym chlebem; na teologii pobierał stypendyum z funduszu religijnego; do Haliczana podawał swoje utwory, a czasem kto inny prosił o przeczytanie nie oddał i podał do druku. Podczas wakacyi obchodził Podole i zbierał ruskie pieśni, których część — przez innych od niego wypożyczona — drukowaną została. —

Wszystkie słowiańskie mowle (narzecza) posiadał, uczęszczał na prelekcję estetyki. — Wyświęcony w roku 1831 przybył do domu i powiedział matce: — »No, już też przecie jestem księdzem; powiedzcie ojcu, jutro będę chciał mieć pierwszą mszę«. — Co matka uczyniwszy, usłyszała od męża: »Ja mu jeszcze nie wierzę«. — Świętopełk ubrawszy się tedy rano, poszedł do miejscowego proboszcza (w Starym Sączu), pokazał mu świadectwa



i prosił o ołtarz; odprawił mszę świętą po cichu, tylko znajomych jego parę było, z których jeden przed ojcem pochwalił jego syna. — Wtedy ojciec do syna: »Cóżes ty mi zrobił?« — a ów: — »Mówilem, — nie wierzyliście«. — Natenczas znalazł Świętopełk ojca i ojciec w Świętopełku poznał syna, którego wprzód był za krnąbrnego uważał. — Ten rys jego młodych lat dostatecznie daje poznać samodzielność jego ducha. —

Pierwsza posada jako współpracownika — była mu wyznaczona w Nowym Sączu, stąd go znają ci, których był uczył nauki obyczajów i wiary (był katechetą). Wsławił się przez szczególny dar udzielania nauki ludowi. Jeszcze młody ksiądz, po 2 latach przeniesiony do Żabna w obwodzie tarnowskim, wzięwszy laskę do ręki, brewiarz pod pachę, w rewerendzie — poszedł pieszo do miejsca swego przeznaczenia, stąd nazywano go dziwakiem; tam przebywszy cztery lata, przeniesiony do Żywca — w obwodzie wadowickim, gdzie proboszcz zdał mu wszystkie zarządzenia plebańskie. — Tu, — jako w Żabnie i Sączu, wsławił się szczególniejszym sposobem mówienia z kazalnicy po ludowemu, przez co wielki szacunek, miłość i zaufanie parafian sobie zyskał, — a że będąc okrzyczany dziwakiem od owych, — co się chełpią, że się znają na ludziach, choć jedenastoletni ksiądz, — plebanii nie dostał; przeto po pięcioletnim pobycie w Żywcu w roku 1842 przeniesiony pod Hale (Tatry) do Poronina, jak

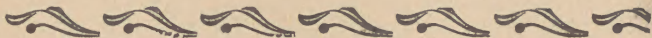


gdzieindziej tak i tu jeszcze rychlej garnęli się za nim Podhalanie i mówili sobie: »Takiego nam trzeba, prawdę gada — choć ostro; gdyby pobyl kilka lat, inaczej by u nas bylo!«...

Życie jego nieposzlakowane — zgadzało się z nauką — którą głosił. — Od swoich zapoznany, lecz znany i słowiańskiemu Kollarowi i czeskiemu Szafarzykowi i naszemu Zeisznerowi; byli i tacy, co go Rafałem nazywali, sami się Tobiaszami podpisując. Miał on niemało swojego utworu poezyi, a gdy go zachęcano, aby wydał, — mawiał: »Przyjdzie kto, pożyczyc i poda, — jak się już nieraz stało; a potem — wydać, to... co godnego«. —

20-go lutego 1846 r. spalił wszystko, — co miał napisane; zbiór książek 2 do 3 tysięcy reńskich kosztować mógł. — Po dźwięku mowy umiał on czytać w duszy człowieka, a rzadko kiedy się omylił. — Był tak tklwym, że na krew zabitego kurczęcia patrzeć nie mógł. — W Żabnie, będąc raz na kazalnicy, zobaczył człowieka zupełnie mu nieznanego, i zemdłał. Nie wiedział, — co to za przyczyna, — aż w kilka dni wytłomaczył sobie, bo tenże człowiek przekonany był o zabójstwo, w tym prawie czasie popelnione.

W Sączu siedząc w piwnicy przez siedm tygodni, nabawił się wodnej puchliny i przeprowadzony został do innego więzienia. — Choć zdrowszy, niż w piwnicy, i nikt z jego postawy nie byłby wyczytał słabości, przed



miesiącem przeczuwał, że umrze; a gdy mu jego przyjaciel naganiał bezzasadne obawianie się: — »Ja się śmierci nie boję« — odpowiedział, — ale wkrótce umrę, i to... w Sączu«. — Ostatnie słowa dobitnie wyrzekł; jakoż w trzecim dziesiątku miesiąca maja 1846 zakończył w szpitalu nowosądeckim (w koszarach). Godzien lepszego losu. Cześć jego popiołom! [N. B. Umarł w kajdanach] *) —

Został ten akt dokładnie skopiowany z oryginału, znajdującego się w posiadaniu Muzeum Nar. Polsk. w Rapperswylu. —

Rapperswyl, 1 czerwca 1898.

*) 14-go maja 1846.

LISTY



*Listy Jana Kantego Andrusikiewicza z więzienia
w Nowym Sączu.*

Serdecznie ukochany Wojtusiul!*)

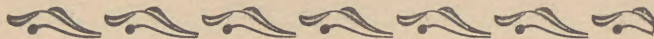
Piszę może ostatni raz do was; lecz Bóg wie, kiedy i te głoski odemnie Cię dońdą. Lecz dosyć — by tylko doszły. O losie mym sam nie wiem; co zaś nędzy i biedy, to nadto i to w piwnicy, o czem się kiedy od kogo dowiesz. Smuci mię los mych dzieci, a osobliwie myśl o drogich Rodzicach, których trudno podobno — bym mógł kiedy widzieć; ale cóż robić, Bogu się tak podobało. Całuję drogim Rodzicom ręce, polecając w opiekę moje dzieci i dziękuję oraz za moje wychowanie. Trapi mię mocno los Ich, z przyczyny bójki przy Gdowie i nadzieja w owsie, który może zrabowany, a Których może tak, jak wszystko moje w Chochołowie zrujnowano. Ja $\frac{1}{4}$ prosił W. Konsyliarza, aby Tobie pozostałe dzieci z pozostałemi rzeczami, stajnią moją własną i chlewem oddano pod opiekę. Przyrzeczono i zanoto-

*) Do brata młodszego Wojciecha Andrusikiewicza, organisty i nauczyciela w Krościenku nad Dunajcem.



wano; ale czy skutek jest? nie wiem. — Pozostało nawozu w 2 miejscach w dołach, któreby sprzedać można. Suknie, spodnie wszystkie, zegarek, 14 R. C. M. oddałem o czym i gosposia wie. — Zaś bieliznę, kamizelki i coś pieniędzy, — byłej Mamce Kajsce, którą znasz, a która w Cichem mieszka u Łatasów. Ta była mi przychylną, i spodziewam się — rzetelną będzie. Po tę — przez Stohandlową starać się trzeba — by do Ciebie przyszła, zamówić ją, a myślę, że odda wszystko. Tylko: czem prędzej, — tem lepiej i ostrożnie. — U Bachmana mam 4 książki, u Sewielskiego około 18, u Kottasa 7 i u Paszkowskich; wszystkie mym podpisem zaopatrzone. Te niechby u Ciebie zostały, dla dzieci kiedyś. — Bo może tyle pozostanie im; bo mi się zdaje, — że co zostało — jest już, albo będzie skonfiskowane. — Z dziećmi postąpcie — jak z Ludwikiem uradzicie. Nauki nie popłacają dziś, i nie ma o czym; niech będą uczciwymi rzemieślnikami, — to lepiej; w Nowym Targu niechby zostali w szkole. Romana napędzać bo próżniak; zresztą proszę Was — bądźcie im ojcami. — Całuję Was oboje z dziećmi, moje dzieci, ks.: Ludwika, Paszkowskich, a najserdeczniej najukochańszych i najdroższych Rodziców Rączki i Nóżki, — najprzywiązańszy syn, — a Wasz brat Kanty Andrusikiewicz, w piwnicy zamkowej w Sączu z 33-ma więźniami.

d. 17. kwietnia 1846. —



Drogi bracie!

Od $18/4$ siedzę z p. S. po wyjściu z piwnicy, odkąd i lepiej się mi powodzi, co mi obejście się z p. Ko. Fiu. sprawiło. Gdyby on chciał, mógłby mi dużo pomagać; a przecież dwa razy życie ocaliłem mu. Dotąd w żadnej indagacyi nie byłem. Prosiłem W. Kons. Guber., aby Tobie szczątki pozostałe po mnie wraz z dziećmi w opiekę oddać, — co zanotowano, ale skutku nie wiem. Przez drugich od Des. wiem, żeś był w Gdowie, ale nic więcej. Suknie moje czyś odebrał? były one u ks. S. — o czym i gosposia wie, a i więcej. Spodnie letnie cyrkasowe przyślej z odpisem małym, a węzłowatym, tą samą drogą, by przez kajdany przeciągnąć. Rodziców i Was wszystkich przebardzo całuję. Wasz Kanty. $16/5$.

Serdecznie ukochany Bracie!

Przyjemności — której doznaję z sposobności pisanania do Ciebie — nie potrafię Ci opisać, a która się zwiększy po otrzymaniu zaspakajającej wiadomości o Was wszystkich mi drogich. Pamiętaj tę drobno na takim kartusiu nadesłać tąż drogą, którą już straciłem; ale Bóg dał, że mię znowu дано nazad do p. S. — Korzystając z tej sposobności, piszę do Ciebie, byś mi odpisał na poprzedzające moje życzenia, tj. czy Rodzice



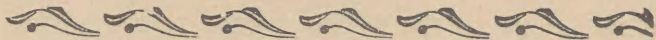
zdrowi, i czy nie mieli dla mnie jakich nieprzyjemności? dlatego, że u mnie byli przed powstaniem. — Chociaż — prawda — ja o tem nikomu i im nic nie mówił, jednak być może, że Rodzice byli, albo będą o to, lub o coś podobnego pytani, tak i ks. Brat. — Dotąd nie był w indagacyi żaden z nas powstańców Chochołowskich. — Ksiądz Sutorski, który zupełnie o niczem nie wiedział, a o którym od niedawna dopiero wiem — że siedzi, dostał kajdany. Siedziałem także z ks. Prefektem Hełmeckim, ks. Makuchem i śp. Głowackim, który $14/5$ zmarł wskutek ohydneho obejścia się z nami. Jednak muszę Ci o tem pokrótce nadmienić: Po poddaniu się mojem 24. lutego, które we wsi Cichem wskutek dwóch pchnięć bagnetem i cięcia dosyć mocnego pałaszem, z osłabienia nastąpiło, mimo, — wzgląd czynić powinnego mego obejścia się z p. komisarzem Fiutowskim, zostałem spluty po twarzy, i zбитy w imieniu od oberkomisarza, einemera i strażników, a nawet za włosy i wąsy targany. W Nowymtargu zwolniono swą srogość, ale zato znowu w Sączu, wszystkich — jak nas widziałeś, bez wyjątku, księży, odzierano do koszuli z sukien, bito po twarzy, targano za włosy, szturchano, a jak mnie, to pół faworytu wydarło, poczem w koszulach tylko — wpychano na głowę do piwnicy i kijem — po raz u każdy dostał w zepchnięciu. Wszyscy — jak byliśmy, dostaliśmy guzy, a ja na murze o mało sobie nie rozdarłem boku. — Rachowano nas w piwni-



cy kijem po głowach jeszcze. W tej ani słomy, ani okien nie było; my w koszulach 4 dni i nocy o głodzie i wodzie, t. j. pół bochenka chleba na dzień mając, w zimnie takim, żeśmy zupełnie całych nóg nie czuli, — przesiadzieli w ciągłym oczekiwaniu nowych katuszy. Aż dopiero 4. dnia dano nam zwierzchnie suknie, rozdzielono nas i do piwnicy pod zamek znowu spychano. W tej było cieplej, ale wilgoć ogromna z leżącej się wody po murach. Ale gołe deski gniotły ciało na dobre; dane sienniki nie pomogły, bośmy się rozchorowali wszyscy; nogi popuchły i ból nieznośny rwał po kościach. Do tego głód dojmował każdemu, gdyż niepodobna było 3 x. cm. zaspokoić głodu. Gdyśmy się na dobre rozchorowali, przydano garnuszek barszczu dziennie, ale i to nie zaspokoilo żołądka. — Wszy, tego nieznośnego owadu — nie mogłem od siebie pozbyć, bo w koszuli 8 tygodni chodzić musiałem, chociaż miałem swoje, o które prosząc, — w odpowiedzi: »by mię zjadły« — otrzymałem. Innym dawano wojskowe, gdy swoich nie mieli, a mnie ani swoich, a bielizna w której byłem, dziurawą była i zgnojoną od wilgoci i brudu. Dopiero od Wielkiejnocy, gdy się dowiedziano o mem obejściu się z p. komisarzem, posłano święcone i przykrycie dosyć porządne na kozę od urzędników wewerteryi. Poczem przeniesiono z innymi z piwnicy do domu; gdzie bez pomocy lekarskiej samą naturą z ran się wygoiłem i dziś niejako do sił przychodzę. — Obchodzenie



się lepsze cokolwiek niż było, ale słyszymy, że nas do Lwowa powiezą, a ztamtąd może na Kufstein, zaczem proszę Cię, pošlej do drogich Rodziców dla mnie po dwie koszule i 2 gaci nowych, by były wyznaczone; także spodnie letnie i odpisz przytem, co się z mojemi dziećmi i rzeczami stało. Spodziewam się, że mi to jak najspieszniej uskutecznisz i pewny jestem, że i w tej mojej smutnej doli nie przestasz być dla mnie tem, czem byłeś i dawniej. — Może Bóg — pozwoli, iż wysiedziawszy moję — Bóg wie — gdzie i jak długą — karę, powrócę znowu do Was; oby Bóg dał, by jeszcze drogich Rodziców — przy drogiem nam życiu zastać! — Łączę tu do nich karteczkę, którą odeślej. — Te karteczki zniszcz, bo gdyby się wydało, zaostrzonoby bardzo nasze — już dosyć grobem będące więzienie. — Tamte dwie kartusie gdyś odebrał, załatwij jak najspieszniej, a zwłaszcza o bieliźnie od Rodziców pamiętaj, bo inaczej musiałbym w skarbowym chodzić, i bez tej miłej przyjemności: mieć swoją bieliznę — obejść się. — Odpisz mi — jak z dziećmi i więcej; nie żałuj fatygi, bo to nie z Chochołowem korespondencya. — Może dziś, albo jutro wypadnie opuścić miłego p. S., a tem samem cała sposobność widzenia i otrzymania od Was — przepadnie, a to może na długie lata. — Boję się, by mię nie porwano przed odpisem od Ciebie. Spiesz, — pamiętaj — jak najprędzej!... Ks. Ludwika, Jasia z Karoleczką i córeczkę ich — jak Ciebie drogi Bracie z lubą



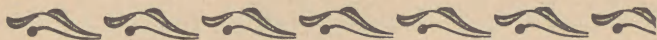
Twoją Żoną, która poświęciła łąkę dla Twego Brata w czasie mego przewozu, a z cacaną Kasią, płaczącą za stryjem — mym polubieńcem Kurta, małym Wojtusiem — Jasiem krześnikiem — i co Bóg Wam da jeszcze, — najserdeczniej całuję. Pamiętajcie na mnie; to moje tu tchnienie jedynie Wam i przeszłości szczęśliwszej należy. — Bądźcie zdrowi! Wasz Brat Kanty Andrusikiewicz. —

Najukochańsi i najdrożsi Rodzice moi!

Smutny los, który nietylko mnie, ale i wielu innych z woli Najwyższego spotkał, już tu musi być wiadomy. Wiem, że smutkiem są drodzy Rodzice otoczeni, ale Ten, co zasmucił, to i pocieszy znowu. I mnie się także bardzo źle powodziło, a dziś nietylko od panów w kozie lubiony, ale i od urzędników szanowany jestem. Bóg wie — co się z owsem moim stało, i czy się choć drogiemu Tacie za furmankę pieniądze wróciły. Ten owies był całym moim gotowym majątkiem, który — mój niby — cały majątek — do dzieci należeć powinien, dlatego, że z wiana ich matki — ruchomości, książki nabyłem, a który — jak słyszę — przez strażników zniszczony i do reszty skonfiskowany został. — Gdyby się kto upomniał, możeby to zwrócili, ale bez tego i tak będą ludźmi przecie. — Może się kto szlachetnie myślący znajdzie, co pomoże. Teofil gdyby mógł być organistą,



byłoby dla jego oka najlepiej, a Wojtuś by go wyuczył. Romana możnaby dać dalej, gdyby było o czem. Proszę drogiej Mamy o wyznaczone — gdyby całem imieniem dwie koszule i dwoje gaci nowych i nadesłanie tych jak najprędzej do Wojtusia. Było nas w Sączu uwięzionych przeszło 300, ale dziś podobno 100, zaczem spodziewamy się, że do indagacyi wnet i na nas kolej przyjdzie, a wtenczas może do Lwowa, albo wprost gdzie za świat nasz kochany wywieziony będę. — Oby Gdów jeszcze — by w przejeździe widzieć!! — Księdza Ludwika proszę, aby za żoną w rocznicę 9. Września Mszą Św. chciał odprawiać, a ja za niego znowu paciorek odmówię. — Może być, że on, jak i drodzy Rodzice będą mieli z przyczyny mojej nieprzyjemności dla tego, że w tym tygodniu powstania byli u mnie, jak i on, chociaż prawda — nic nie mówiłem o podobnych rzeczach, bo dopiero po odjeździe, — przez nieznanne mi osoby pod karą śmierci do tego zmuszony zostałem, co i wykonałem, a o czem jak Ks. Brat, tak i drodzy Rodzice nie wiedzieli, ani mogli wiedzieć. — Na to jednak względu nie ma i każdy z panów musi się z tego tygodnia z każdego dnia rachować, gdzie, po co — był. — Lecz — cóż robić? takie przeznaczenie, — przy jednych muszą i drudzy cierpieć. — Dzieci pozdrawiam i całuję serdecznie, niech teraz chodzą i boso do szkoły; lepiej że się przyzwyczajają zawczasu do biedy, bo trochę wygodnie dotąd wychowałem je. — Roman trochę próżniak;



trzebaby z nim ostrzej postąpić; gdyby się nie chciał uczyć, niech idzie do rzemiosła, i tam są ludzie, byle był tylko uczciwym człowiekiem. — Drodzy Rodzice niech się nie martwią mym losem, bo już teraz lepiej trochę, a gorzej — niepodobna — aby już było; i śmierć nie byłaby mi niespodzianką, która już była pożądaną. — W. Ks. Prob. Kusionowiczowi — łączę mój powinny ukłon. — Może nie raczy z zawodu Brata być urażony i co Jego wspaniałomyślność wskaże, na tych mych biednych — bez Rodziców — synków ofiarować zechce. Za przeszły rok otrzymałem tylko 100 R. W. W., od: 26. listopada 1845 do 21 lutego 1846 r. na nowo nic nie otrzymałem. — Przytem kończę, całując najukochańszym, drogim mojemu sercu Rodzicom rączki i nóżki, do grobowej deski najobowiązańszy i najwdzięczniejszy syn Kanty Andrusikiewicz. —

N. B. Dałem oberstrażnikowi Wolfartowi, który mię eskortował do Sącza — 4 cwancygiery, by dług za wino — za kwitkiem w Suchej górze zapłacił. —

Najukochańsi Rodzice!

Z bolesnem sercem byłem dziś uszczęśliwiony widokiem i pomówieniem drogiego Wojtusia. Oby mu Bóg Jego trudy wynagrodził! Trudny to i przystęp do nas, bo jesteśmy w najmocniejszym więzieniu i zdaje się, że nasze więzienie ma największych więźniów, bo tru-



dna komunikacja, trudny przystęp i każda, najmniejsza usługa sownie nagrodzona. — Jednak o ile można, przecież teraz znośniej niż dawniej; bo jesteśmy w lepszym więzieniu, zdrowszem, z odmianą przełożonego, czyli dozorca więzień, który był policyjny rewizor miasta, zwany Piskozub, człowiek bez serca, okrutny, straszny oprawca. Mamy wikt lepszy i chleb, a bieliznę częściej, czyli co tydzień praną. Wychodzimy dwa razy w tygodniu na spacer na podwórzec i używamy pół godzinki tego Bożego, ogrzewającego światła, błęgiego powietrza, co wszystko zbawienny wpływ na to zdrowie wywarło. O! bo też gdyby dalej tak było, musiałoby to zdrowie ustać, bo niepodobna byłoby, aby jeszcze raz tyle wytrzymać ile się już zniosło! Ale to Opatrzność wszystko rządząca, mnie w to koło wtrąciwszy, tutaj łaskawie ratuje! Bo gdy do Księdza zdalsza strzelano i poraniono, mnie zaś z bliższa proch osmrodził, kule koło uszu świsły i to nie nad 15 kroków nawet; w ataku przez głowę cięty od p. komisarza, od strażników bagnetem około lewego oka przy słabiźnie, w kołnierzu u cuchy — i brzuch, w który — gdyby nie rzemień od pałasza, cucha i guzik u spodni były wstrzymały, byłbym na drugą stronę śmiertelnie raniony, tak jak obok mnie dwóch chłopów, którzy w kilka godzin Bogu ducha oddali. — Mnie żaden raz śmiertelny nie był przeznaczony, i tylko od silnego pchnięcia na ziemię powalony, na której broń się jeszcze, po razie rurą karabinową w głowę. —



zniknąłem, sam nie wiem jak i gdzie, by po chwili przez ludzi być dźwigniętym, aby życie uratować komisarzowi, od mściwego (za kaleczenie) ludu. — Wszystko to — jakkolwiek w oczach wysokiego Rządu — zbrodnią zwane, — po pierwszej furyi — znalazło uwzględnienie, które mi z woli tej Opatrzności ulgę, a może z czasem i uwolnienie z tego nieszczęsnego położenia sprawi. — Dałby Bóg, by drogich Rodziców przy życiu jeszcze zastać, o które Boga proszę. — Bo po Bogu, na ziemi nie mam nic droższego nad życie już i tak blisko wiekowe, i najukochańszych i najdroższych Rodziców, o które — gdyby się drodzy Rodzice martwili, obawiać mnie się przyszło i z przyczyny tu tej bójkii, dosyć smutno mi było. — Proszę bardzo drogich Rodziców nic się nie martwić o mnie, by swoje — tak nam miłe z życiem zdrowie zachować, bym ja mógł mieć jeszcze tę pociechę, z powrotem stopy kochane uściskać. Ja z mojej strony przyrzekam także być spokojniejszym, do czego wiadomość od drogich Rodziców, Brata, Siostry, Jasia i dzieci — się przyczyniła, — a którą — jak talizman — dopóki się tylko da — zachowam. — Do tego czasu wiele włosów mi zbiałało; ale odtąd pewnie mniej, bo odtąd będę spokojniejszy o los drogich mi Rodziców! Mój zaś los był podobno już taki w księdze przeznaczenia zapisany, któremu się bez szemrania poddałem i znoszę bez szemrania. O los mych dzieci jestem zupełnie spokojny i kontent zupełnie — że u Jasia są.



Poznał ja to, że w Nowym Targu darmo siedzą, ale nie czas było do Jasia nazad wracać. — Czyby nie można w Seminarjum u którego księdza za chłopców do usługi ich pod dozór Guśkiewicza dać, aby tam 3., a gdyby i 4. klasę skończyć mogli? a byłby przecie wikt darmo. — Tak tu i w kozie mówią, że to -by przecie zrobili. Zresztą zupełnie woli drogich Rodziców i szczodrobliwości — jako i drogich Braci zostawiam. Panowie, — którzy siedzeli ze mną — byli dla mnie bardzo łaskawi; nietylko że z wikt swego udzielali, ale i po parę srokwców darzyli, za co się bułkę kupowało. — Jeden darował mi skórzaną poduszkę pod głowę, drugi przyrzekł i o dzieciach pamiętać. Przed kilku dniami otrzymałem 5 Ry. C. M. z rąk p. . . . który ma nad nami dozór, lecz nie chciał powiedzieć od kogo. Lecz nad wszystkich był mi najmiłszy p. Sk. . . .*), który mi moje położenie bardzo osładzał, a któremu się i to udzielenie tu zawdzięczyć winno. — Od W. p. Konsyliarza Kreutza otrzymałem tę derkę do przykrycia i święcone na Święta. W. Ks. Proboszczowi i za to co dał — dziękuję, i łączę winny ukłon, a brata Jego pozdrawiam. — Może w przyszłym roku chociaż w przejeździe drogie mi miejsce naukochańszych Rodziców zobaczę. — Ks. Brata, kochaną Siostę z Jasiem i ich Ludwisią z Wojciem, jako i moich chłopców całuję serdecznie. — A podobno

*) Niewątpliwie p. Antoni Skąpski, towarzysz więzienia i przyjaciół.



już w tym roku Jasiu nie będziesz z Czerwonego Wirchu plecami złąził? — bo-byś się zabił. Drogim Rodzicom zaś całuję rączki i nóżki, aż przecie kiedyś rzeczywiście. — Do zgonu najobowiązańszy syn Kanty Andrusikiewicz. —

Drogi, najukochańszy Bracie!

Za poświęcenie się Twoje i widzenie się ze mną — wielkie Ci dzięki czynię. Smutno i bardzo smutno było się nam w tem położeniu widzieć, aleć smutniej byłoby się nie widzieć; dzisiaj jestem zupełnie zadowolniony i proszę Cię, — abyś się nie martwił. — Jeżeli mi wolno będzie, to ze Lwowa napiszę do drogich Rodziców, ale to aż po inkwizycyi, abyście wiedzieli. — Mówiono mi, że p. porucznik Sybert*), który ze mną konskrybował, miał dać 10 Ryńs. C. M. dla dzieci — gospodyni ich? — U p. Bobakiewicza mam dwa odpisy metody — moją ręką pisane, które odbierz. — Nut dobrych zostało na chórze, które jeżeli nie Sylwester**) to Klimonda zabrał. Śpiewnik mój; — a ten co u Ciebie — kościoła Chochołowskiego, który trzeba wymienić, bo kart brakuje. — O połowę — przynajmniej ze szkoły musisz u ks. Dziekana zrobić, bo Klimonda chytry i podły człowiek. —

*) Siebert — wspomniany przez Maurycego Salę.

**) Sylwester Kusionowicz — bratanek ówczesnego proboszcza ze Gdowa, — który w Chochołowie uczył się gry na organach. —



Gdy Ci z cyrkułu pozwolą rzeczy zabrać, to wtenczas jedź tam; pierwej nie, bo by Cię mogli aresztować, bo wiesz, — jacy to tam źli panowie na mnie. — O to — co w Cichem, mów w sekrecie z Chochołowską, lub pisz, aby Kaśka do Ciebie to odniosła. Ona mi się najprzychylniejszą okazała; u niej 4 obrazeczki. Sochor haniebnie się pokazał; a ja zaledwie lud wstrzymał, by go nie obracali, a może i nie ubili. — Tata z Ludwikiem gdyby chcieli być u W-go Fiutowskiego nim do Wiednia pojedzie, — a on tam mógłby i dla mnie łaskę wyprosić? Zachowajcie to, że tu piszę — w największym sekrecie, bo jeszcze-by nas bardziej doglądano. — Ciebie Teofilko — z dziećmi Twemi kochanemi najserdeczniej całuję, a niech Cię nie obchodzi — żem wszystkich pieniędzy nie wziął, — bo ich nie potrzebuję. — Całuję Was serdecznie, Wasz brat Kanty. —

Dopisek — obcą ręką na końcu niniejszego listu skreślony: »Dnia 10-go czerwca — o 3 godzinie z rana wywieziony został drogi nam wszystkim biedny Jasio do Lwowa«. — *)

*) Dnia 1-go sierpnia 1847 wywieziony został do Spielbergu, czyli Grajgóry, jak wówczas mawiano, dokąd przybył 5-go sierpnia 1847 w nocy i osadzony został w kaźni, ponad którą bezpośrednio umieszczeni byli Henryk Bogdański, Mikołaj Horodyński i Albin Dunajewski. Siedział tu z Władysławem Domaradzkim i jeszcze dwoma innymi. — Zobacz »Wspomnienia« Henryka Bogdańskiego — cytowane w dziele St. Schnür Peplowskiego »Życie za wolność« na str. 101.—



*Trzy korespondencye Jana Kantego Andrusikiewicza,
pisane w Krościenku — już po powrocie z więzienia
na Grajgórze.*

I. Szanowny Komitecie Narodowy Sądecki!

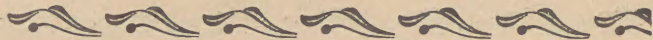
Wiadomo powszechnie, że usiłowania w r. 1846. odbudowania całej naszej Polski — pozbawiły ludzi — życia, majątku. — A ileż to nie cierpiało po więzieniach! — Los taki spotkał także pracowitych Rolników, ludzi poczciwych, prawych. Ludem tym są górale z wsi: Chochołowa, Witowa, Dzianisza, Kościelisk, i Cichego, niegdyś do starostwa Nowotarskiego, dzisiaj do państwa Czarnodunajeckiego, parafii Chochołowskiej należących, którzy wskutek rozkazu władz rewolucyjnych w dniach 21-go, 22-go i 23-go lutego 1846 r. koszary straży finansowej rozbroili, z cła galicyjsko-polskiego pieniądze zabrali, austriackie orły porąbali i napad straży finansowej, znacznym oddziałem chłopów uwiedzionych wsparty, — szczęśliwie odparli. — Nie było to wprawdzie zupełnie szczęśliwe odparcie, bo prócz kilku rannych, poległo od bagnatów dwóch ludzi, mianowicie Jan Wróbel, parobek z Chochołowa i Maciej Jasionek, gospodarz ze wsi Witowa, ojciec dwoj-



ga małych dzieci, które w r. 1847 także i matkę utraciły! —

Po nieszczęśliwym upadku naszej świętej sprawy, obchodzono się najokrutniej w miejscu z tymi ludźmi! Użyto do tego celu nawet powagi duchownej, która niestety! uwiedziona jakimiś osobistymi widokami, lżyła najobelżywszymi wyrazy tak pocziwy, dobroduszny, prawy lud — za to, że chciał pomagać dźwigać naszą Matkę, — kochaną Ojczyznę. Niedosyć, że w kościele z ambony — kalały się usta kapłana wyrazami niegodnymi jego charakteru, ale prowadzono ich do wsi węgierskiej pogranicznej, (Suchej Góry) z pogardą i upokorzeniem jak największych złoczyńców, gdzie wobec ludu węgierskiego, dlatego tam zgromadzonego, kapłan w ubiorze uroczystym — hańbił ich.

Lecz — gdyby to się tylko na tem skończyło było, co ci czcigodni ludzie w nagrodę poświęcenia swego cierpieć musieli! Ale inaczej było! Gdy jedni uwięzieni bicie, zimno, głód, nędzę zupełną — przeszło dwa lata po więzieniach w Nowymtargu, Sączu, Lwowie i Piorunowie (Spielbergu) z męskością znosili, modląc się jeszcze za swych błędzących braci, — by im Bóg pozwolił opamiętać się błąd popełniony naprawić, drudzy pozostali w domu, — mając nad głowami szubienice, walcząc z nieurodzajnymi latami, które i w czasach najurodzajniejszych nigdy dostatecznie chleba do pożywienia nie dostarczały, — z przyczyny nieurodzajnej ziemi, a w tych



846., 847. i 848 coraz mniej urodzajnych latach, musieli znosić nietylko wszelkie dojmujące upokorzenie, ale dręczeni, nie wspierani (zapewne z bojaźni, aby nie być przez władze ściganymi), w części — ci szanowni ludzie z głodu i niedostatku pomarli. — Brakujące do kasy cłowej pieniądze, których w połowie większej — więcej nad brakować mogące — musieli czynniejsi w stosunku płacić, jakoteż na orły i słup. — Nie rachując w to podwód, (forszpanów) bezpłatnych, które każdy — pod komisyjonujących urzędników itp. dawać musiał. — Nędzę tego zawsze czcigodnego ludu widziałem naocznie dnia 9-go i 10-go maja b. r. Ale nie mogąc sam nic więcej nad to — co czynię — uczynić, proszę Szanownego Komitetu Narodowego przynajmniej o te pieniądze dla nich, które oni podług załączonego tu wykazu (sumienie z dowodów spisanych) dać musieli, — u Szanownych obywateli sądeckich swym wpływem — jak można najprędzej — wyjednać i jednego z grona szanownych obywateli z temi pieniędzmi do Chochołowa — w celu wypłacenia im — podług wykazu załączonego — wysłać. —

Sądzę — być moim obowiązkiem — dodać jeszcze, że Wojciech Kojis do 24-go lutego 1846 r. czynny w powstaniu przysiężny chochołowski, który w Pioronowie na lat 3 zasądzony siedział, a który w czasie uwięzienia bydło utracił i drzewo na nowy dom przygotowane — sprzedane mu zostało na pokrycie kosztów



z powstania wynikłych, dzisiaj chory leży i istotnie naj-
prędzszego wsparcia — celem wydzwignienia go z tej
nędzy — potrzebuje. —

Polecając troskliwości Szanownego Komitetu Naro-
dowego Sądeckiego powyższą prośbę — i wiedzą wy-
kazanych, do szlachetnych uczuć się odwołujących, —
kreślę się każdej dobrej sprawy sługą. —

Krościenko, 30 maja 1848. Jan Kanty Andrusi-
kiewicz.

Na orły	97 fl. 40 kr.
» »	18 » — »
Na sług	3 » — »

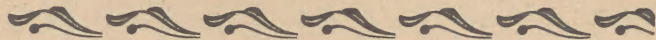
Razem 118 fl 40 kr C. M.

Karabin	1 fl. 43 kr.
Kuras	13 » 24 »
i	— » 36 »

Razem 15 fl. 03 kr. C. M.

Suma 133 fl. 43 kr. C. M.

Powyższy wykaz jest zrobiony przez podpisanego
na miejscu, dnia 10. maja 1848 r. z kwitów oryginal-
nych, jako: na brakujące pieniądze z dnia: 9. sierpnia
1846 r. z podpisem poborcy cłowego. Na orły z dnia
28. marca 1846 r., a na sług wskutek rozkazu admini-
stracyi sądeckiej z 19. września 1846 r. Nr. 7962; po-
borcy pokwitowanie z dnia 18. października 1847 roku
m. p.



II. Dobrodzieju obywatelu!*)

Proszę załączoną prośbę do Komitetu podać, a jaki skutek weźmie — odpisać. — Byłbym się udał z nią do Lwowa, ale mi wprzód tutaj — kazano. — Jeżeli by tu nie można, to udam się z nią do Lwowa. Czy będzie co z tego — względem umieszczenia synów moich w Tarnowie? — Recepis na odebranie tej prośby — podpisać proszę. Ja już zdrowszy, jednak nie zupełnie, a dotąd bez obowiązku. — Bywaj zdrów Obywatelu; z szacunkiem dla Ciebie — Twój kolega

Andrusikiewicz.

III. Szanowny Komitecie Narodowy Sądecki!

Przesłałą kwotę 140 Reń. C. M. dla Chochołowian odebrałem od Szan. Obyw. Wiktora Krobickiego i takową dnia 9. b. m. wykazany wręczyłem. — Łączę tu podziękowanie, wraz z wyrażeniem dowodnem — ile każdy odebrał. — Szanowni dawcy wyryli tym datkiem wdzięczność w sercach górali. Trudne do opisanego jest tam — ich terażniejsze życie! Nie ma tam śladu zaszłej zmiany rządu, a co i na sobie doświadczyłem. Władze krajowe rozdawały w końcu maja b. r. pieniądze zasiłki okolicznym wsiom; ale Chochołów, Dzianisz, Witów nie doznał tego względu, chociaż w tych wsiach

*) Do Wiktora Krobickiego z Harkłowej. —



w r. 1846 w powstaniu najczynniejszych — nie wszyscy czynni byli, a jeżeli nie większą, to nie mniejszą nędzę cierpią. — Ci ludzie rznęli na wiosnę słomę w sieczkę, suszyli, męli i z takowej gotowali tak zwaną kulasę, której i posolić nie było za co! — Doczekawszy się trawy, gotują ją i jedzą z niej tak u nich zwany »warmus«. — W dzisiejszych wolniejszych dniach otrzymali niektórzy poczciwi wsparcie w zbożu od Szanownych Obywateli jako p. Tetmajera z Łopuszny, p. Krobickiego z Harkłowy i pani Drohojeńskiej z Czorsztyna. Pomiędzy obdarzonymi wsparciem był także były przysiężny Chochołowski Wojciech Kojs, za którym pod dniem 30./V. br. też prosiłem, a który dzisiaj lepszem zdrowiem się cieszy. —

Powróciwszy z Grajgóry do kraju, starał się Jan Kanty Andrusikiewicz o przywrócenie go na opuszczoną posadę organisty i nauczyciela w Chochołowie, czego mu jednak konsystorz tarnowski odmówił. Za pośrednictwem przyjaciela swego p. Antoniego Skąpskiego otrzymał posadę we wsi Kamienicy (przy Limanowej) u zacnego obywatela i patryoty Maksymiliana Marszałkowicza. Niedługo jednak pożył i po dwu latach pracy w papierni tamtejszej i hucie żelaznej zachorzał ciężko na tyfus i dnia 9-go stycznia 1850 roku życia dokonał; pochowany na cmentarzu



w Kamienicy, na grobie ani krzyża, ani znaku żadnego. —

Ksiądz Józef Leopold Kmietowicz powróciwszy z Kufsteinu do kraju, leczył się żentycą we wsi Obidzy, był czas jakiś wikaryuszem w Muszynie, a następnie w Makowie oddany pod dozór polakożerczego proboszcza Heera, słabował zawsze na piersi. Urodzony 14. listopada 1819 w Starym Sączu, zmarł tamże dnia 11. października 1859 r.



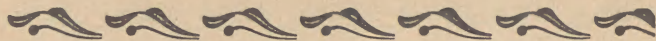
Listy

Jana Zycha, kowala z Chochołowa, ostatniego z żyjących bohaterów, zmarłego w r. 1899.

Pisane do Teofila Andrusikiewicza nauczyciela w Przeroszowie
syna Jana Kantego Andrusikiewicza.

1) Niech Bedzie Pochwaloni Jezus Chrystus!

Sanowny Panie Teofil Andrusikewic! Znałem Oyca i Matkę i kany ie Pochowano, przecię my byli kielka lat razem, naostatku nacierpieliśmy się po usy, pierwszy początek taki był: w roku 1846 przed ostatkami Ksiądz Kmietowicz mie prosił zebym iechał znim do poronina i zaiechałem do Księdza Głowackiego i mieli tam iakaś naradę, a Ja tam stał u gospodarza, potem Ksiądz mi kazał zaprząkać. dopiero w tem czas Oyca Andrusikiewica widział bo mi mówił, zebym sedł na gory, a Oyciec z Księdzem poiedzie. ja mowił cy ja przeydę na gory. poniewaz były okrutne śniegi, a Oyciec mi mówił zem tamtędy przesedł, tak ia dał konia i Oyciec furmanił a ja posedł na gory. razem my sie ześli w Chochołowie. ja wziół konia i powiół dostaynie a kazał mi Ksiądz zaraz przyść i przysedłem. tam iuz było kielka



chłopów, Ksiądz i Andrusikewic. Opowiedzieli wszystko co miało nastąpić, poślemy do ciertoka Finansów ozbroić, poślemy na Suchę Górę na komorę, tam odebrali Pieniądze i zakwitowali, potem my pošli do witowa znowu Ozbroić Finansów, bo to było w sobotę. w niedzielę Ksiądz Kmietowic miał kazanie do ludzi, taki płac po nabożeństwie, kosi wyproscali i felezowali młodych Chłopów i mieli iść ku wadowicą, z koro przyszło późnio w noci, taka ruyna przygrusała, warta dała znać Księdzu i Andrusikewicowi, polecili naprzecif, Ksiądz mówił do nich kątetny ja wiedzieć co wy za ludzie, a wtencas dali ognia i postrzelili Księdza, a Andrusikewica bagnetem w brzuch i jeden s winansów został zabyty, a Fiutowski Konwiszras także był rany, a Jasionek z witowa był postrzelony, w drugi dzień umarł, także i Michał wruwel bardzo był podziubany i umar. Fiutowski leżał na ziemi i Chłopi na niego się obruseli na co on przyprowadził telą Charmią na Chochołów, ale Pan, Andrusikewic iako leżał na ziemi zawołał dajcie mu pokoy bo to naz, tak go wzięli na Organistówkę i tam leżał. Zkoro w poniedziałek przysła taka cerniawa ludzi od Koniuwki ku Chochołowiu, całą rówiń zastąpili, a my uciekali na gory, wydziało sie że nam wieś zapołą, iednego z pomidzy się zastrzelili, któryby se zarobić rad na kapelus, a jeden sfinansów strzelił do wikareyki, a ten podesedł i syni mu z głowy caskę. Kiędza wzięli z plebaniie w gatkach i bosu i pro-



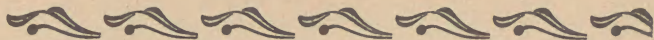
wadzili do ciertoka i usła ta charmiia, a my byli w strachu. We wtorek znaleźli Pana Andrusikiewica w Cichem u Zawodnioka, tam, go powiązali i za ręce do lyter przypieni i tak się pacwieli nad nim, wasy mu z brody wytargali z ciałem i powieźli do nowego targu, a po mnie przyśli finanse i powiązali i bili, kielo się mogło zmieścić. zawieźli mię do donayca, tam by mie byli za-tłukli, gdyby mie Jedna kobieta nie obroniła i zawieźli mię do nowego targu i wewlekli powiązanego w opak ręce. tam my po ciężkiej biedzie ięceli na ziemi, zkoro w drugi dzień sła banda rabusiów ode Msaney na rapkę i na rabę i na pinioskowice i przyśli aze do obrocney i były takie mowy, ze to byli nasi poloci, jak przydą do nowego targu, to nas wypuszą i tak nas pokretowali wielkie palce spagatami w tyle zawiązali i w kolanach postrąkami jeden do drugiego w taką karyę, było nas 8-śmi w kółko powiązanych i straźników telo było, a to jak byli by się przekonali do nowego targu, toby nas wypuścili, bo myśleli ze nasi polocy, dlatego naz pokretowali i straźników telo było, naz wymordować jakby się byli przekopali, a finansów było ze sto, a urlopników było 300, to wszyscy pogruseli na przeciw tem rabusią, ozebrali most pod Świętą Channą. ale rabusie z obrocney myśleli iść na Saflary bez Ludzimierz, ale ich ozbroili i pobrali tych rabusiów to spinoskowic i ze msaney i z rabki i między nas do rotusa wewlekli za garła na powrozie, a naz tedy popuścili.



w drugi dzień przyšli Panowie z tych dworów obezryć tych rabusiów i Panowie urzyndnicy i przyšli do Oyca Andrusikiewica ci przełożony i mówieli mu trza było ci to tego, cyś ty nie miał kawałka chleba, a On sie podnioz iako leżał i mówił do nich: gdzie Duch moy będzie cy w niebie cy w piekle ia sie będę patrział co sie będzie z polską działo. więcey ia Oyca nie wydział. a naz potem zakuli w pęta i tak my musieli lezeć jak barany, jakiego bądź dziada złapali, to go między naz zawarli. rany Boskie co było wsi, kiedy my zamietli to mieszkanie gdzie my lezeli, a nie miał by casu Policyant z nami, więc to byłyby te śmieci ozniesły, telo było gady. pomyślałem sobie: niedarmo Kościół Święty zachęca Modlić się za więźniów i niewolników i w utrapien u będących. w nowym Targu siedzieliśmy 2 miesiące, potem nas wywieźli do Sąca, zawieźli naz pod Zamek. tam nie było mieysca, wrócili naz zydowską ulicą. Zydzi taką Charmią za nami lecieli, a tak się nawydrzeźniali, tak grozieli, tak pokazowali iako naz będą wiesać i zawieźli naz tam, gdzie był śpital, było to iuz po zachodzie słońca i wleźliśmy na kurytarz, były drzwi otwarte do piwnice i mówi nam ten przełożony: pakuy psia Krew na góre i ten nieszczęśliwy kazdego postusił, tak my lecieli po schodach kamiennych. Bóg naz zachował, ze który nie ostrzepali głowy na schodach. Tam my lezeli w piwnicy 9 dni, było na piętro mur, a w tym zabudowaniu mogło być koło sta, albo i więcey, a był tam



tranzet iak zwykle, to się tak przepęłniło, że się bez sklepienie łało, takie sople. po 9-ciu dniach wyprowadzieli na gore i tam siedzieli my. Jakisi Sewsz nas chował, to naz mozył niech Bóg broní w nowym Targu to lada kiedy przynieśli co zieść, ale w Soncu to głód niezmierny, a co się tyczy tey gady, to my musieli spodnie podrzyć, bo pęta nie pozwalały zpodnie inne na nogi wciognać. przesiedzielimy 2 miesiące. wywieźli nas do lwowa w oktawe Bożego Ciała. nocowaliśmy w Bochny, w drugą noc w dębicy za tornowem. Zawieźli naz do lwowa, dali mnie samego 9 tyźni tylko, iak iem na spacer był puscony do ogrodu co 3-ci dzień, iaze po Najświętrzey Panny Maryi zelnej uzem dostał swoich znaiomych i siedziałem iedynoście Miesiący, alem o Oycu i Księdzu nic nie słytał. Siedzielimy do wiosny, siedziało naz 10 razem, po wielkiej nocy w tydzień uwolnili naz 7-dmi a 3 zostało i mówili nam, ze pierwsza jstacya naz Osądzięła śmiercią ukarać, ale iako Łaskawy Oyciec Cisarz raczył wam to darować. Jezdeście uwolnioni z pod Kreminalnego Sądu, a będziecie oddani pod policyanny Sąd, a Policiia gdzie waz zasądzi moze na miesiąc, moze i na dwa. policiia zaprowadzięła naz do Maryi Magdaleny i tam się przenocowali jednę noc i wypuścili na wolno. my mieli siedzieć do tych cz, dopokąt nie będzie Ślus, bo nom muwieli O wiśnicu, a innych Dekretowali wiosieni. Słyszeliśmy ze zasądzieli trzech na śmierć: Księdza i dwóch panow. Za Księdzem



uprosił Biskup, co go nie powiesili ino na 20 lat, a Oyca Andrusikiewica na 15 Lat i stych nasey kompaniie Styr-cule i Jacka Koisa, Woyciecha Koisa, tylko Jan Styr-cula iesce zyie. zkoro przysło wiesieni wołą naz do wi-śnica, nie byliśmy w kanceraiyi ino na kurytarzu. Prze-cytali nom nasze uwolnienie we wiśnicu: icie zbogiem, ale ta byli iacisi Opiekunowie co ta błagali Cysarza, wy-szła Amestyia i uwolnini wszystkich. Oyciec Andrusi-kiewicz przybył iesce do naz i przywitaliśmy się grze-cznie, iak poseł do kościoła, iak poseł na chór, a wziął grać, iaze kościół ozweselił. kie był Oyciec został w Cho-chołowie to był moze żył, ale mu Marszałek kciał iakie utrzy-manie dać, był w papierni i zazył się przy tych sma-tach i na tyfus umar. Sanowny Panie Teofil, nie byłem jego uczniem, bom się uczył pierwej za białońskiego, dyć mi pan Teofil zkoro mi iest 55 Lat 3 Października minyło. Na ostatku końcę to pisanie Sanowny Panie Teofil, iakom umiał tak iem napisał, proszę o przebo-cenie, kłaniam Panu i Całemu domowi. Ja utrzymuie Cytelnię. r. 1873 dnia: 18/3 Jan Zych Kował w Cho-chołowie.

Dodatek. Sanowny Panie Teofil, ciesy mie to ze sobie Pan przypomniał o Chochołowie bo i mnie prze-rozo Gdy sobie pomyślę iak to było. Jest u mnie Cy-telnia, książki wszelicakie pisma tygodniowe.

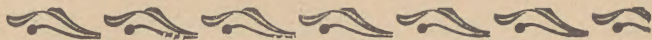
Sanowny Panie przebocie mi bo ta niekany ies myłka. gdyby nie cherešta tobym był zobocył, com się



chłopcę nauczył. Moy Sanowny Panie przepocie mi. Jan Zych kowal.

2) Niech będzie Pochwalony Jezus Chrystus!

Sanownemu Teofilowi Andrusikiewiczowi w Przeciszowie. zasyłam nayprzód serdecnie podziękowanie a potem Bóg zapłac za książki, któremy Pan przysłał, bo som prawdziwie Religijne. ciesy mnie to, że Pan wie co dobre, a co złe, bo Panowie stey wysey klasy niebardzo ich obchodzi religiiia, a skoro mi pan przyobiecał przysłać książki religijne, to mnie uciesyło, ze się znajdzie i między Panami, którzy lubią książki na Bożne, ale przysłowie tak mówi: iakie drzewo, taki klin, iaki Oyciec taki Syn. ponieważ był Oyciec wielce religijnym dy iem go dobrze znał i iego Oyca we gdowie. mielismy iechać do Bochnie, a Stryiasek tam był przy Oycu w Chochołowie. Oyciec się dowiedział, że pojedziemy do bochnie i przysył prosić, żebymy brata Woytusia odwieźli do Oyców w Gdowie; ja wam dam 2 ćwierci owsa i dał nam Oyciec iedną ćwierć, a drugą ćwierć dostaniecie we gdowie. zamiast owsa dali nam ćwierć zyty, no tom był we Gdowie i znał wasego dziatka dobrze i Stryjoska Woytusia, co bywał w Krościnku. Oyciec był sławnym Organistą, bo niźli nastoł do chochołowa, to Organisty Białoński zawdy spiewali Psalmy po łacinie na niesporze. Był nieiaki ieden Gospodarz, co umiał po łacinie i śpiewali zorganizem, a dziewczki zaś



drugim tonem. Zkoro nastał Jan Kanty Andrusikewic, Psalmy dał wydurkować po Polsku, na ucyliłmy się spiewać Męszczyny ieden Strow, a kobiety drugi Strow. my iuz w Chochołowie wiedzili dobrze śpiewać, a w donaycu nie wiedzili nic. trefieło sie, zemy posli z procesią do Carnego Donayca; my z Organistom, co my z chochołowskiey Parafiiie byli z Panem Andrusikewicem wysliłmy na chury, bo my się tak naradzili, bo tam chury wielkie są. Jak Pan Oyciec wysedł, a Zasiadł na Organ i zaśpiewali my po polsku Psalmy, nie wiedzieli się nasłuchać takimu u porzątkowaniu. bo Oyciec umiał dobrze grać, nawet i na gęślach. iednego razu siadła grać Jego Zona, czyli Matka Pana Teofila i grała ślicnie, tak, ze niektórzy mówieli ze iesce przebiro organistego, tak on Oyciec zakazał iej zeby więcey sie niewozyla grać i Mama sie niepierała więcey grać. Więcey nie wiem co wam mam napisać. kiedy Oyciec był w Chochołowie to wtem cas byli Księdzowie Antoni Sutorski Pleban i Ksiądz Makuch. Oyciec z Makuchę zrobili kompiel, po renach puścili wodę ze źródła, Postawili taką Altankę zdesek, wygladało iak Sięder Chaus i tam się kąpali, który se tam wlos, to się zawar drzewickami, tam się lała woda z ryny na głowę, a to ich była uciecha. Oyciec i Ksiądz Makuch posli iednego razu zwiedzić Tatry. Nie wiem pewnie, ale mi sie tak widzi, ze Oyciec był Zawisłą 31 roku, wtem cas kiedy była Rewolucyia pod moskałę, ta sie mi zdaie, bo Oyciec był wielce walecnym. co się



tyczy Matki, to była bardzo przyjemna, ale iak wpadła w suchoty, tak juz nie mogła przyść do zdrowia i pomarła. Jest ie pochowano pod groniem i na iey Grobie jest zkrzyzol, wypisane imie i nazwisko i kiedy pomarła. Jeżeli by tam przybył kiedy Pan Teofil Andrusikewic to pokazę to mieysce.

Tak Sanowny Panie Teofil Andrusikewic. kiedyby my się to na ocnie widzieli, to by my się Uciesyli i uskarzyli, teraz Bóg Zapłać za książki, któreście mi przysłali, bo som Prawdzywe religiyne. Sanowny Panie nie posyłaycie marka, nie rób straty, bo gdybym mógł, tobym przysłał ze 7 marków, dość mam, zeście mi książki darowali, jesceście musieli opłacać poctę. Jak się wam widzi coć się dowiedzieć, to piscie do mnie i nie posyłay cie na zwrot marka.

Zakoncam moje pisanie i kłaniam Panu Teofilowi i Zonie i całemu Domowi.

Jak iem umiał, tak iem pisał, ale niekłamliwie. bąc cie Zdrowi, Niech was Błogosławi

podpisałem Jan Zych Kowal.

K O N I E C .